



№ 401.

Prenumerata w Warszawie:  
Rocznie rs. 8, półrocznie rs. 4 kwartalnie rs. 2,  
miesięcznie kop. 67 i pół

Warszawa, 1 czerwca 1867 r.

Prenumerata na prowincyi i w Cesarstwie:  
Rocznie rs. 12, półrocznie rs. 6, kwartalnie rs. 3.  
Koperta oddzielna rs. 2 rocznie.

TOM XV.

TREŚĆ NUMERU. Włodzimierz Młocki (z drzeworytu). — Kronika tygodniowa. — Przegląd polityki zagranicznej. — Najnowsze odkrycia, wynalazki i spostrzeżenia naukowe (dokończenie). — Chłop podolski w polu przy robocie (drzeworyt). — Kronika bibliograficzna. — Kaplica Batorego w katedrze krakowskiej (drzeworyt). — Gawędy ekonomiczne. — Friemam i Dulęba (z drzeworytu). — Szachy.—Rebus. — Śmierć Bekwarka (poezya). — Przegląd teatralny. — Kwestya banków zaliczkowych dla rzemieślników. — Korespondencya Tygodnika Illustrowanego. — Życie za życie (powieść pani Waleryi Morzkowskiej), dalszy ciąg. — Helena, powieść T. T. Jeża (dokończenie).

## Włodzimierz Młocki.

Moja gwiazda już zgasła i żagiel stargany.  
Więc zimno, obojętnie, wyglądam dziś burzy  
I nie dbam, gdzie mnie morskie zainośa bałwany.  
A więc bracie! być może wkrótce się rozdzielim,  
Gdy wspomnisz błogą przeszłość wśród walki z tym światem  
Wspomnij o mnie.—

Włodz. Młocki.

Każda chwila tak długa jak wiek mi się zdaje,  
I uciekam od świata, uciekam od ludzi.

22 maja 1843 r.

Zrażony światem, popadł w smutek, dla uleczenia  
z którego rodzice wysłali go w d. 10 listopada 1847  
r. do Drezna.

Tutaj przebył pół roku, oddany naukom, głównie  
matematycznym. Zaprzyjaźniwszy się z zycznym  
skrzypkiem Karolem Lipińskim i jego rodziną, w ich  
towarzystwie całe dnie przepędzał. W r. 1848  
zwiędził Paryż, z kąd powróciwszy do kraju, został  
w r. 1849 aplikantem Trybunału krakowskiego, a

wie, tak podobnie i we Lwowie zajęty był wyłącznie  
książkami. Oddając się z zapałem studjom ekono-  
micznym, tłumaczył Juliusza Fröbla i Blanqui'ego.

Było to pomyślnie przejście od marzycielstwa Baj-  
ronizmu, do praktyczności, a widać że ekonomika  
była ostatnim wyrazem jego myśli przedzgonnych,  
bo o niej i w testamencie nie zapomniał.

Zapadł atoli na zdrowiu. Jeszcze za pobytu w Kra-  
kowie chorował raz niebezpiecznie, z czego nie wy-  
leczył się stanowczo. Zagrożony powtórnie choro-  
bą we Lwowie, udał się do dóbr babki swjej do Łopa-  
tyny, w okolicy słynne pierwotnymi lasami, ciągną-  
cemi się w wielomilowej przestrzeni.

Ale i wieś nie pomogła: zagrażała mu cho-  
roba piersiowa. Wyjechał za granicę, lecz i  
tam nie było ratunku. Źródło choroby tkwi-  
ło głębiej. Moralne powody wypaliły soki ży-  
wotne. Gdy taka jest przyczyna, nie pomogą  
środki lekarskie. „Każdy ruch duszy (mówi  
Leszek Borkowski o Magnuszewskim) doby-  
wa z nieprzebranęj kopalni myśli nowe bo-  
gactwa, które opłacać trzeba częścią żywota.  
Wartość ich wytrącona jest z liczby dni ży-  
cia“.

Młocki nie miał wtedy majątku. Roił świe-  
tne zamiary, ale ich skutecznie nie mógł.  
Dopiero na lat dwa przed zgonem, po śmierci  
babki, odziedziczył część jej fortuny.

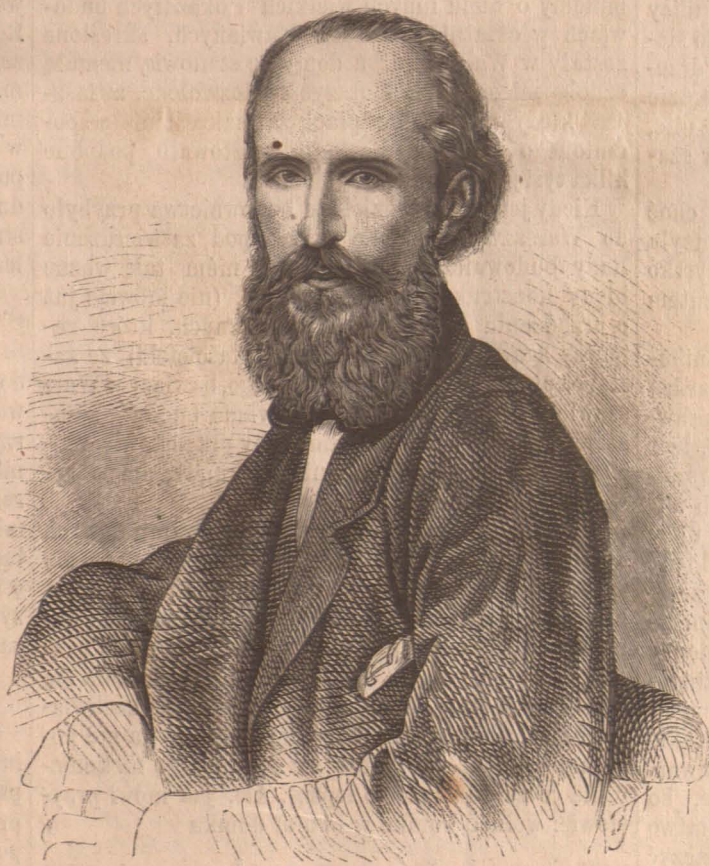
Jeszcze wówczas myślał o wydawnictwach  
i dziełach naukowych, ale było już zapóźno:  
choroba wyniszczyła organizm, życie co dnia  
ulatywało.

Nabywszy w królestwie majątek Kujawy  
za 350,000 złp., porzucił Galicyą, ale cier-  
pienie jego coraz bardziej się wzmagało. Wy-  
jechał za granicę i tam d. 21 września 1861  
r. umarł w Wroclawiu. Nie zostawił po sobie  
ważnych prac naukowych, lubo wiem że ciąglej  
oddawał się pracy. Pomnę nawet, iż przeło-  
żył i do druku przygotował dzieło Fryderyka  
Bastiat'a: Cohden et la Ligue. Staraniem zape-  
wne rodziców będzie pozbiierać rękopisma sy-  
na i ogłosić je drukiem.

Najtrwalszym atoli pomnikiem ś. p. Wło-  
dzimirza, jest jego testament, spisany w War-  
szawie dnia 1 lutego 1861 r., którym przeka-  
zał cały swój majątek na utworzenie stypendyów  
dla niezamożnej młodzieży akademickiej.

Oto jak w testamencie wyraża swe najgorętsze  
życzenia.

„Cały mój majątek tak ruchomy jak i nierucho-  
my (z wyjątkiem ruchomości i drobiazgów, którymi  
rozporządzam na końcu) przeznaczam na utworze-  
nie wieczystego funduszu, mającego istnieć pod mo-  
jym imieniem i nazwiskiem. Z dochodów od tego  
funduszu mają być utworzone stypendya, w sum-  
mie 2000 złp. czyli rs. 300 każde, w takiej ilości,  
na jaką dochody z funduszu wystarczą. Stypendya  
te mają być pobierane przez młodzież polską, na u-



WŁODZIMIRZ MŁOCKI. (Podług fotografii Stahla we Lwowie).

Temi wyrazami zapisywał mi przed osiemnastą la-  
ty słowa przyjaźni zacnej pamięci Włodzimierz Mło-  
cki. Kiedy zmarł, zadosyć stało się życzeniu: wspo-  
mnienie o nim ukazało się w r. 1862 we Lwowie  
(Młocki Włodzimierz, napisał Bogdan Bogu-  
mił, 8ka. str. 12.)

Żył krótko, szczupłe miał pole działania,  
choć gorącej chęci wiele, a nie mogąc za życia  
urzeczywistnić rojonych przysług społeczeń-  
stwu, stał się użytecznym, o ile możność po-  
zwalała, wolą ostatnią przedzgonną.

Pamiętam z najmłodszych lat młodzieńca  
o bladej twarzy, zamyślnego, dzielącego  
w milczeniu zabawy rówieśników, stroniącego  
od gwaru i tłumu, a podziwiającego towarzy-  
stwo kilku przyjaciół, z którymi wspólnie od-  
dawał się literackim pracom, nie rzemieślni-  
czym, bo nie pisanym do druku i dla chleba.

Odzież czarna i smutek nie opuszczały go  
nigdy. Marzycielstwo było Włodzimierzowi  
Młockiemu wrodzone od lat pachołących, a  
mimo tego miłował świat i żył dla jego dobra.

Urodził się w Warszawie d. 10 kwietnia  
1827 r., lecz od dzieciństwa zamieszkał w Kra-  
kowie wraz z rodzicami i tam skończył nauki  
gimnazyalne, filozoficzne i prawnicze, ode-  
brawszy w domu rodziców swych, Alfreda i  
Juli Młockich, wychowanie staranne.

Alfred Młocki ojciec, sam w dziejach bie-  
gły i studjom tychże oddany, o którym wi-  
erszopis krakowski Franciszek Jakubowski ry-  
my udatne pisał (w Dwutyg. literac. 1844  
i w Przyj. Ludu 1844), wpływał niemało na  
wyrobienie hartu charakteru w Włodzimierz.

Młody marzyciel umiłował nad wszystko  
Słowackiego i Bajrona, z którymi nigdy się  
nie rozstawał, ucząc się pierwszego, a tłuma-  
cząc ostatniego. Towarzystwo takie wyrobiło w nim  
usposobienia, które były niejako odzwierciedleniem  
myśli Bajronowskich.

Oddziaływało to ujemnie na praktykę życia. Sło-  
wa też które wypowiadał o sobie wierszem, wyraża-  
ły usposobienia charakteru jego:

Ja jestem jak szalony pomiędzy trzeźwemi,  
Twarz moja to raz blednie, to znów ogniem płonie,  
I chodzę zadumany, wzrok wbity do ziemi,  
Smętny, bo wulkan cierpień osiadł w mojem łonie.  
I wszystko mi się przykrzy i wszystko mię nudzi,

nico później przeniósł się na praktykę do Namie-  
stnictwa w Krakowie. Zaledwie jednak rok prze-  
był w służbie rządowej.

Dnia 23 września 1850 r. wyjechał do Lwowa.  
Tu z d. 1 października objął obowiązki w Towarzy-  
stwie agronomicznym, a od 10 marca 1851 r. w To-  
warzystwie kredytowym.

Mieszkał u babki swojej Borzęckiej, panny liczą-  
cej niemal całe stulecie życia, pani fortuny ogromnej,  
obliczanej na miliony, skoligaconej z całym wyższym  
światem lwowskim.

Wir światowy nie wpłynął na zmianę usposobie-  
nia. Jak żył w Krakowie w ciszy klasztornej pra-



niwersytet czyli wszechnieg warszawską uczęszczającą, pozbawioną funduszy do kształcenia się, a gorliwością i chęcią do nauk, oraz moralnością przed innymi odznaczającą się. Mając w Bogu nadzieję, że akademia warszawska nie pozostanie w stanie w jakim się obecnie znajduje, stypendya moje przeznaczam dla młodzieży oddającej się literaturze i dziękuję polskiemu, oraz naukom ekonomii politycznej i prawniczym. Nim zaś ta pożądana nastąpi zmiana, pobierać je będą uczniowie medycyny.“

Wskazawszy następnie sposób rozdawania pomienionych stypendyów, Młocki mianuje egzekutorem testamentu ojca swego, do którego czyni pożegnalny i rzewny ten zwrot:

„Drogi ojczule! podobało się Bogu zabrać ci jedyne-go syna. Jestto bolesny cios dla ciebie; ale w nieskończonej Swój dobroci Bóg natchnął syna twego myślą przysposobienia ci wnuków na wieki. Ta myśl niech ci będzie pociechą i powtórz razem ze mną: dziej się wola Twoja święta, o Panie!“

Dać tu jeszcze należy, iż dobra przedmiotem zapisu będące wypuszczone zostały w dzierżawę i przynoszą rocznie 16,000 złp. czystego dochodu, rozdzielonego na stypendya między studentów tutejszej szkoły Głównej. K. E.

## Kronika tygodniowa.

„Warszawa podoba mi się, mówił do mnie cudzoziemiec, który przez jakiś czas bawił w naszym mieście, a podoba mi się głównie dlatego, że nie ma ulic uregulowanych i pod sznur wyciągniętych, jakie przy nowym budowaniu miast uważają się mniej więcej za niezbędne. Ta nieznośna jednostajność nuży oko i naprowadza na myśl zbiorowiska wielkich fabryk i zakładów przemysłowych. W Ameryce miasta budują pod linią, to też trudno wypowiedzieć jakie niemiłe sprawia to wrażenie na obcym przybyszu. Toż samo można powiedzieć o teraźniejszym przebudowaniu Paryża, o tych bulwarach co całe mile się ciągną, gdzie początek ulicy podobny do jej końca, jak dwie krople wody do siebie. Sklepy i sklepy, domy i domy, drzewa i drzewa, nigdzie załomu, nigdzie rozmaitości, nigdzie odskoku żadnego, tak że gdy przejdiesz parę ulic, w głowie ci się kołuje, a myśli układają się w szarawe, mgliste linie bez końca i miary.“

Bardzo to piękne, co mówił mój znajomy, choć wiele jeszcze brak w Warszawie, ażeby zasłużyła na tak dobrą o sobie opinią; ale są to wszystko wady, których cudzoziemiec za pierwszym rzutem oka odgadnąć nie może.

Więc najprzód komunikacja, nie już omnibusowa i dorózkowa, ale wprost piesza, jest bardzo w mieście naszym utrudniona. Porobiono wprawdzie w ostatnich czasach niektóre uproszczenia, lecz wiele jeszcze pozostaje do poprawy. W ogóle wszelkiego rodzaju przepiekanie, przejście i tak zwanych uliczek komunikacyjnych jest zmało. Nieraz z ulicy na ulicę trzeba obchodzić ogromny kawał, kiedy lada przejście otwarte w oznaczonym miejscu oszczędziłoby więcej jak połowę drogi. Dlaczego naprzykład wielki kwadrat domów zamkniętych pomiędzy placem teatralnym, ulicą Bielańską, Długą, Miodową i Senatorską, nie ma przejścia komunikacyjnego? Ulicy Daniłowiczowskiej żadną miarą za takie przejście uważać nie można, jest ona bowiem zawartą sama w sobie i niewiadomo poco istnieje, bo nie skraca drogi, ani ją ułatwia. A jednak łatwo byłoby, jak już podobno jest w projekcie, połączyć ulicę Daniłowiczowską z jedną stroną z Miodową, z drugiej z Długą. Stałoby się to wielkim udogodnieniem dla okolicznych mieszkańców, a miastu przyniosłoby dochód nielada, bo w tak dobrym punkcie, place jednej chwili rozkupioneby zostały i powstałoby mnóstwo pierwszorzędnych domów.

Wiele także pisano o otwarciu komunikacji do Saskiego ogrodu przez ulicę Niecałą; pragnący bowiem z ulicy Wierzbowej przejść na ulicę Królewską lub Marszałkowską, muszą z jednej lub drugiej strony cały ogród okrążyć i jeszcze raz powtarzać tę samą drogę, przechodząc przez aleje ogrodowe. Jeżeli ulica Niecała nie jest wytknięta dla bezpośredniej komunikacji z ogrodem Saskim, to pytam się naco istnieje? A tak łatwo byłoby zaradzić tej niedogodności.

Więc chociaż miasta amerykańskie nie podobają się Ole Bullowi, (wymieniłem tu niechcący owego chwalcę Warszawy); to jednak mają one swoje wielkie dogodności, leżące głównie w porządku i wygodzie mieszkańców, dla których to przymiotów można im śmiało wybaczyć zbyt sztywną regularność.

Pytam się również dlaczego dwa główne punkta, ulica Bielańska i Krakowskie-Przedmieście obok hotelu Europejskiego, wystawione są na wieczną zarazę powietrza? Ludzie przechodzący tamtędy, szczególnie wieczorną porą, złorzeczą naturze, że ich zmysłem powonienia obdarzyła. A wytykamy tu główne tylko zbiorowiska tych zaraźliwych wyziewów, nie wspominając już o pobocznych, których wyliczenie zbyt dalekoby nas zaprowadziło.

Co do bruków miejskich, donoszą o przybyciu tu brukarzew z Berlina sprowadzonych, którzy rozpoczęli już swoje roboty, na wzór dla miejscowych. Podobno koszt niemały, ale wróci się z lichwą, jeżeli nowy bruk odpowie wszelkim wymaganiom i nie będzie potrzebował ciągłych reparacji. Dziwi nas tylko, że w tak wielkim mieście jak Warszawa, brukarze nie są jeszcze obznajmieni z ulepszeniami swojego rzemiosła, używanymi w środkowych punktach europejskiej cywilizacji. Nie do nas wszakże należy wydawać zdanie o tém, bo z wszelką skromnością wyznajemy, że techniczne wiadomości potrzebne do rozpoznania wyższości bruku jednego nad drugim, zupełnie są nam obce. Wiemy tylko że trzeba silnego bardzo zdrowia, ażeby dorózką warszawską przejechać kilka warszawskich ulic, zwłaszcza podczas roztopów wiosennych.

Że jednak nie wszystko z wielkim nawet kosztem z Berlina sprowadzone opłaca się nalezyć, mamy na to przykład przed oczami. Jeden z majątnych tutejszych obywateli, kupiwszy przy głównej ulicy plac pod budowę domu, zamówił plan u budowniczego berlińskiego. Dlaczego? trudno się domyśleć, boć przecie plany do takich gmachów jak Towarzystwo kredytowe i hotel Europejski, że nie wspomniemy o wielu innych wielkich i okazałych budowlach w ostatnich czasach stawianych, skreślone zostały w Warszawie, a domy te stanowią niemałą ozdobę miasta. Ale fantazyje są dozwolone, zwłaszcza kiedy się za nie płaci, a nakreślenie wspomnianego planu w Berlinie kosztowało podobno kilka tysięcy talarów.

Kiedy jednak arcydzieło to budownictwa przybyło do Warszawy i oddane zostało pod zatwierdzenie Rady budowniczey, ukazały się w niem tak ważne błędy konstrukcyjne i estetyczne, (nie mówiąc już o urządzeniu rozkładów wewnętrznych, które zapewne zgadzały się z żądaniem właściciela) że zastępca owego architekta berlińskiego, bawiący w Warszawie a przeznaczony do kierowania budową, zmuszony był pojechać do Berlina, aby przedstawić swemu mistrzowi błędysłusznie wytknięte, dla poprawienia takowych.

Niewiadomo zresztą czy przy budowaniu nowych domów w samym Berlinie nie okaże się potrzeba sprowadzania obcych budowniczych i robotników, bo tam wypadki walenia się nowopostawionych domów są bardzo częste i gazety ciągle się na to użalają, do tego stopnia, że skutkiem powtarzania się takich wypadków, domy przez pewien czas zachwiały się w cenie i zaczęto mniej chętnie na nie pożyczki udzielać. Wszystko to dowodzi, że niekiedy co zagraniczne to lepsze. Ale, jak mówi przysłowie: wolność Tomku w twoim domku.

W teatrze Wielkim ujrzymy może wkrótce przedstawienie (benefisowe) dramatu Aleksandra Dumasa „Młodość muszkietierów.“ Przed kilkunastu latami widzieliśmy tych ichmościów w wieku dojrzłym już występujących na scenie; obecnie przychodzą do nas odmłodzeni, rozpoczynając z nową siłą muszkieterskie działania swoje. Oprócz tego zapowiadają nam wznowienie opery Robert Diabeł, która zawsze wielkim na scenie naszej cieszyła się powodzeniem, oraz balet Hrabia Edmund, należący do tej rodziny kilkoaktowych baletów, które całe zajmują widowisko. Przygotowane są również do nauki: komedia oryginalna Złote runo, komedia Lizetka, z Alfreda de Musset wiérzsem tłumaczona, i wreszcie tyle już razy zapowiedziana Rodzina Be-

noitonów, która w końcu czerwca napewno ma wyjść na deski sceniczne. Wszystko to mamy ujrzyć przed lipcem, a wiadomo nam że wiele innych sztuk przed siebie czeka na swoją kolej. Rzeczywiście, teatr powinien przyspieszać swoje prace, jeżeli pragnie uprzątnąć trochę dawno nagromadzone zaległości.

Wiara uzdrowia. Wiara wiele znaczy. Przez wiarę...

Ale mniejsza o to, po co wam powtarzać to co wiecie dobrze, może lepiej niż ja. Ale nie wiem czy wam wiadomo kto w Warszawie obdarzony jest najsilniejszą wiarą. Oto Towarzystwo gazowe do oświetlania miasta. Wierzy ono niezachwianie, że kiedy w kalendarzu oznaczony jest czas do święcenia księżycowi, to już koniecznie musi świecić, czy chce czy nie chce.

Więc choćby chmury tak zasłuły niebo, że ani gwiazdki, ani księżyc nie dojrzyś, latarnie gazowe gaszą się najregularniej o porze w której księżyc ma wschodzić. A jeżeli nie wejdzie, to już jego w tém wina. Towarzystwo zrobiło swoje.

Nie powiem żeby to bardzo wygodnym być miało dla spóźnionych przechodniów. Nie każdy posiada psa, który instynktem wiedziony, może w takim razie służyć za przewodnika, a w bruku warszawskim jest mnóstwo improwizowanych wilczych dołów, które podstępnie czyhają na człowieka.

Dobre jest i ekonomiczne to gaszenie latarni, ale w porze kiedy pogodne niebo dozwala księżycowi roztaćcać cały blask, na jaki ta błada planeta nocna zdobyć się może. Ale doprawdy, bywają wieczory, w których przy zagaszonych latarniach trudno trafić do domu. Miasto wtedy wydaje się dziwnie ponure, i przychodzi prawie żałować dawnego oleju, który słabiej trochę świecać, nie zdobywał się przynajmniej na tak wielkie oszczędności.

Chodzą wieści o założeniu nowego dwutygodniowego pisma, mającego celem i zakresem zastąpić Rodzinę, ubyłą z szeregu pism tutejszych w roku zeszłym. Jak nas upewniano, do składu redakcyi mają wejść osoby, które już na tém polu niepomierne położyły zasługi. Ten nowy przybytek w piśmiennictwie naszym, zwłaszcza dla młodzieży, pożądanym byłby bardzo. W stosunku do liczby ludności wcale zawiele pism nie mamy, a są to przednie straża oświaty, które zawsze przychylnie witać należy, byleby pożyteczną ożywiły myślą.

Julia i Julietta Delepière, o których przybyciu do Warszawy wspominaliśmy, są rzeczywiście dziwnym zjawiskiem w świecie muzykalnym. Nie wierzyliśmy pochwałąm francuzkich i angielskich dzienników, które zwykle każdy artysta rzecz swoją rozumiejący wozi z sobą, ale po usłyszeniu tych młodych artystek przekonaliśmy się, że w pochwałach żadnej niema przesady. Szczegółowe zdanie o grze panien Delepière, pozostawiamy sądowi muzycznego recenzenta Tygodnika; uważaliśmy jednak za konieczne dać o nich choć to krótkie wspomnienie.

Niewielu mamy właścicieli fabryk, którzyby bezinteresowną szlachetnością wiedzeni, dbali o polepszenie dobrobytu robotników i starali się o zaprowadzenie dla nich zbawiennych instytucyj. Z tego powodu nie od rzeczy będzie kiedy niekiedy obznajmić ogół z temi dobroczynnymi zakładami, które zaprowadzone zostały nie z musu, lecz z prawdziwej chęci podźwignienia biędnej klasy robotników. Jako przykład godny naśladowania, przytoczyć mi wypada dzisiaj wiadomość o ochronce istniejącej już od roku w Guzowie. W ochronce tej, założonej i utrzymywanej kosztem pana Jakuba Natansona, b. profesora szkoły Głównej, a obecnie administratora wzmiankowanej fabryki, znajduje się około 50 dzieci od 3-let do 7-miu lat wieku, nad którymi dozór powierzony jest osobnej ochmistrzyni. Dzieci, po oświadczeniu rodziców do fabryki, przychodzą rano do ochronki i pozostają tam dzień cały, otrzymują śniadanie, obiad i wieczór, uczą się pacierza, katechizmu, czytania i robótek, albo też bawią się między sobą.



Wielka i widna izba ochronki, mieszkanie dozorcyńi i kuchnia z wzorową czystością utrzymana, a szczególniej wesołość tych dzieci, miłe czynią na zwiedzających ochronkę wrażenie.

W lecie dzieci bawią się i pracują w osobnym ogródku, znajdującym się przed domem.

\* \* \*

Ciekawy fakt mamy tu do wymienienia.

Jeden z majątnych przemysłowców warszawskich, przechodząc przez odległą ulicę miasta, potrzebował napisać do kogoś bilecik, ponieważ zaś nie miał ze sobą pugilaresu dla wydarcia z niego kartki, wstąpił do sklepu korzennego, prosząc o arkusz papieru. Za papier, pióro i atrament zaceniono mu dwa grosze. Ale tu inny kłopot: piszący nie miał ani grosza drobnych. Wyjął więc z pugilaresu dziesięciorublowy bilet bankowy, prosząc żeby mu z niego zdano resztę.

— Reszty zdać nie możemy, odpowiedział subjekt, bo płacimy za zmianę od rubla, byłoby to więc z naszą stratą.

— Wiem o tém dobrze, odpowiedział przemysłowiec, ale cóż na to wskórać mogę, kiedy widzicie panowie że ani grosza drobnych nie mam przy sobie? Chyba mi więc tę kopiejkę zakredytujecie.

— I tego nie możemy uczynić, bo przyjęliśmy zasadę, żeby nikomu nic nie kredytować.

— Poradźcie mi więc panowie co mam uczynić, bo doprawdy nie wiem.

— Niech pan dziesięć rubli tu zostawi na zastaw, a przechodząc tędy drugi raz, odbierze pan jeinałże dwa grosze zapłaci.

Łatwo się domyślić, że jegomość ów, zagadnięty w ten sposób, wolał stracić dwanaście groszy, które subjekt z najzimniejszą krwią przyjął jako wynagrodzenie za zmianę pieniędzy i sprzedany papier, aniżeli trudzić się drugi raz po odbiór swoich dziesięciu rubli.

## Przegląd polityki zagranicznej.

31 maja.

W chwili wymiany ratyfikacji traktatu londyńskiego, kiedy odwiedziny głów ukoronowanych w Paryżu zwiastują erę pokoju, dzienniki podniosły, a raczej odnowiły kwestyą szlezwicką. Rozpuszczono wieść że Dania, pod wpływem rad udzielonych jej przez Napoleona III, wysłała do mocarstw zagranicznych skargę w postaci noty, wykazującej konieczność wykonania przez Prusy 5 paragrafu traktatu pragskiego. Nord. Allg. Ztg. po kilkudniowym milczeniu wystąpiła nareszcie z zaprzeczeniem, dodając od siebie, że między Kopenhagą i Berlinem toczą się poufne układy dotyczące Szlezwigu i że gabinet berliński skłonny jest zwrócić Danii północną część Szlezwigu, pod warunkiem przyjęcia przez Danią części długu księstw i zapewnienia praw niemieckiej ludności. Nord. Allg. Ztg. dodaje, że pogłoski o odrzuceniu przez Danią tych warunków są przedczesne. Ustęp mowy króla pruskiego, dotyczący blizkiego porozumienia południowych Niemiec z konfederacją północną, zwrócił na siebie uwagę dziennikarstwa francuzkiego, nader w tym przedmiocie drażliwego. Zdaje się wszakże iż to porozumienie nie jest blizkiem, skoro rządowa gazeta bawarska zaprzeczyła wszelkim pogłoskom o bezwzłocznym przystąpieniu państw południowych do Związku. Korespondenci z Monachium zapewniają, że stronnictwo księcia Hohenlohe szczupleje, z powodu niezadowolenia opinii publicznej, sprzeciwiającej się kosztownej organizacji wojskowo-pruskiej, i że stosunek przyszły państw południowych do Związku północnego ma być przedmiotem odrębnych narad czyli konferencyj, na które się zjadą ministrowie państw południowych do Monachium. Rzecz pewna jednak, iż ludność Niemiec południowych, mianowicie badeńska, liczy wielu stronników jedności. Depesze z Hanoweru potwierdzają wiadomości o odkrytym sprzysiężeniu, które mając na celu powrót dawnego monarchy do władzy, organizowało tajemnie legion, na wypadek wojny z Francją. Następca tronu pruskiego wyjechał do Paryża.

Mowa tronowa cesarza Franciszka Józefa znalazła przychylnie ocenienie w dziennikach angielskich i francuzkich, dowodzących że silna Austria jest ko-

nieczną dla równowagi europejskiej. Zachodzi pytanie czy uda się rządowi wiedeńskiemu pogodzić tyle sprzecznych żywiołów i spoić różnorodne części monarchii silnym, nierozzerwalnym cementem. Ogół dzisiejszych członków rady państwa przyjmuje, o ile się zdaje, zasadę dualistyczną, wyznacząc wszakże należy, że podstawa to bardzo wątpliwa, jeżeli bowiem zadowolą Węgrów i Niemców, to znajdzie przeciwników w ludności słowiańskiej, która stanowiąc większość liczebną w państwie, domaga się równoważnych z Niemcami i Węgrami przywilejów. Znajlepszemu dowód tego posłużyć może reskrypt z d. 25 b. m. rozwiązujący sejm kroacki, wiadomo bowiem że sejm ten wyraził swe życzenia w odrębnym adresie, adres zaś ten uznany został przez zarząd centralny za niepodobny do uwzględnienia. Tym sposobem, na koronacji w Peszcie w dniu 8 czerwca, zjawi się deputacja kroacka z bezpośrednich wyborów komitatowych wysłana, zamiast deputacji sejmowej. Nawet stosunek centralistów niemieckich i postawa ich względem Węgier nie jest jeszcze stanowczo określona, jakkolwiek organa ich przyznają, iż gdyby nie udało się przeprowadzić teraz zgody Węgrów z koroną, to wypadek ten przyczyniłby się mógł do rozpadnięcia się monarchii austriackiej przy pierwszym lepszym zamieszaniu europejskim. Wiener Ab. Post, zaprzeczając pogłoskom krążącym o upadku rządów cesarza Maksymiliana w Meksyku, zapewniła że cesarz trzyma się jeszcze w Queretaro i że generał Santa-Anna, bawiący w Stanach Zjednoczonych, zakupił trzy statki, w zamiarze zrobienia dywersyi na korzyść Maksymiliana, któremu tym sposobem ułatwi wyjazd do Europy; późniejsza jednak depesza z Nowego Yorku (z d. 28 maja) doniosła o stanowczym upadku cesarstwa meksykańskiego. Republikanie, według brzmienia tej depeszy, w dniu 15 maja zdobyli Queretaro i wzięli do niewoli cesarza Maksymiliana, wraz z generałami Mejia i Miramonem. Na żądanie Stanów Zjednoczonych, Juarez zgodził się wydać cesarza Maksymiliana rządowi waszyngtońskiemu.

Dzienniki zagraniczne zajmują się wciąż kwestyą wschodnią, domagając się rozwiązania jej za pomocą przejrzania traktatów z 1856 roku. Mówią że mocarstwa europejskie znużone są wyczerkaniem, że dadzą jeszcze Porcie czas jakiś do przytłumienia powstania na Krecie, po upływie którego zażądają od Turcyi, aby odstąpiła Grecyi tę wyspę. Powstanie tymczasem i walka z Turkami toczy się bezustannie i z taką zaciętością, iż najzawołany wódz turecki, Omer-basza, nie może sobie dać rady z garstką Kandyotów. Gazety francuzkie zapewniają, że cesarz Napoleon skorzysta z pobytu sułtana w Paryżu i postara się skłonić go do zgodnego załatwienia kwestyi wschodniej. Z księstw naddunajskich donoszą, że rząd w Jassach i Bukareszcie począł tak przesładować Żydów, iż konsul francuzki wspólnie z austriackim żywo stanął imieli w ich obronie. Osobna deputacja żydowska udała się z zażaleniami do księcia Karola, który przyjął ją w dniu 27 maja. Rezultat tych zabiegów dotąd niewiadomy. Z Konstantynopola donoszą, że sułtan wybiera się do Paryża, w towarzystwie starszego swego syna Izzedina i dwóch wnuków.

**Ostatnie depesze. Karlsruhe, 28 maja.** Karlsruhe Ztg. zaprzecza pogłoskom o mniemanem ustąpieniu księstwa badeńskiego koronie pruskiej, również jak i o zamierzonej okupacji twierdzy rastadskiej przez Prusaków.

**Berlin, 28 maja.** Król Wilhelm wyjedzie na wystawę paryżką w dniu 4 czerwca, w towarzystwie generałów: Moltke, Treskow i Goltz. Król wraca 14 tegoż miesiąca do Berlina i ma zaprosić do siebie cesarza Napoleona.

**Nowy York, 29 maja.** Dziennik wychodzący w San Lui de Potosi utrzymuje, że Juarez wydał rozkaz rozstrzelania Maksymiliana i jego oficerów. (?)

**Paryż, 29 maja.** W skutek przedstawień Francyi i innych mocarstw, surowe przeciw Żydom środki w Jassach cofnięte zostały.

**Wiedeń, 29 maja.** Presse zapewnia, że Rosya i Francya, w skutek porażki Omer-baszy, zaprojektowały mocarstwom podpisanym na traktacie paryżkim, aby wymóżyć na Turcyi ustąpienie wyspy Kandyi. W tym ostatnim razie, mieszkańcy wyspy powołani zostaną do głosowania powszechnego.

(W. T. B. Schles. Ztg. France. Ind. Bel. Jour. d. Deb.)

## Najnowsze odkrycia,

wynalazki i spostrzeżenia naukowe.

(Dokończenie).

Nowa gwiazda, nieuzbrojonym okiem widzialna, odkryta została w r. z. przez p. Courbebaissé, naczelnego inżyniera dróg i mostów w Rochefort. Dnia 13 maja o 10-jej godzinie wieczorem dostrzegł on ją w konstelacji Korony północnej, oznaczył jej położenie i sprawdził że blask jej wyrównywał Perle, najświecniejszą z gwiazd Korony. Według bardzo ścisłych obliczeń p. le Verrier'a, proste wznoszenie się nowej gwiazdy wynosi 15 godzin, 53 minut, 53 sekund, a jej odległość od bieguna 63 stopni, 41 minut, 50 sekund. Astronomowie Wolf i Rayet obserwowali widmo tej gwiazdy; na jednostajnym, bladym tle jego występowały prążki świetlne. Podobne cechy przedstawiały dotąd obłoczki, czyli tak zwane mgławice gwiazdy, tudzież światło atmosfery komet, co nasuwałoby wniosek, że nowa gwiazda winna swój blask głównie parom gazowym płonącym. Może to być zresztą i nowe słońce powstające dopiero, rozpalające się, przypuszczenie to bowiem zdaje się potwierdzać krótki czas trwania blasku pierwotnego tej gwiazdy. We dwa dni po jej odkryciu zesłała ona z 3-gó na 4-ty stopień wielkości, następnie coraz więcej na światło traciła, obecnie zaś gołym okiem niepodobna jej dostrzedz. Toż samo od najdawniejszych czasów spostrzegano na wszystkich nagle ukazujących się gwiazdach. 2000 lat temu, w r. 134 przed naszą erą, zjawiła się, jak powiada Pliniusz, nowa gwiazda w okolicach nieba bezgwiazdzistych. Zjawiska takie ponawiały się od tego czasu ze dwadzieścia razy, co daje w przybliżeniu jedną gwiazdę nowopowijającą się w ciągu wieku. Podobny fakt powtórzył się w 16-ém stuleciu: duński astronom Tycho-Brahe odkrył 11-go listopada 1572 r. nieznaną jeszcze gwiazdę w Kassiopei; ómiła ona blaskiem Syryusza i Jowisza, wyrównyując Wenerze w najwyższym jej świetle. Po upływie dwóch lat, gwiazda ta całkowicie znikła.

Oddawna usiłowano objaśnić te dziwne zjawiska, tworząc najrozmaitsze, mniej lub więcej prawdopodobne hipotezy. Newton przypuszczał, że te światła nagle powstające pochodzą ze zgorzenia planet rzuconych w przyciągające je słońce, około którego grawitowały; inni astronomowie utrzymują, że są to słońca płonące silnie przed zagaśnięciem, jak lampa rzucająca naostatku błysk najwyższy. Wszystkie te jednak tłumaczenia są dowolne i nie przechodzą granicy przypuszczeń.

\* \* \*

Kometa obserwowana przez p. Tempel, posłużyła angielskiemu astronomowi p. Huggins do ciekawego odkrycia. Skierował on spektroskop kolejno na warkocz kształtu owalnego i jądro, i dostrzegł z zadziwieniem, że światło warkocza dawało widmo ciągłe, jednostajne, światło zaś jądra rysowało w widmie świetlne paski. Fakt ten zdaje się dowodzić, że jądro komety samo przez się jest błyszczące i prawdopodobnie utworzone z materii gazowej, żarzącej się; warkocz przeciwnie byłby refleksem światła słonecznego, jakkolwiek widmo jego jest zbyt słabe, aby odróżnić można ciemne linie Fraunhofera. Spostrzeżenie powyższe żywo zainteresowało świat uczony; pozostaje teraz sprawdzić je na pierwszej wielkiej komecie jaka się ukaże.

\* \* \*

Za pomocą analizy widmowej, w r. 1859 odkryto dwa metale, cesium i rubidium, nieco później thallium; obecnie zawdzięczamy jej znowu nowy metal, indium. Odkrycie było przypadkowe. Dwóch chemików niemieckich, Reich i Richter, szukało thallium w niektórych rudach rozbiieranych we Freybergu, zawierających piryt arsenikowy, blendę cynkową i galenę. Po wyprażeniu rud, traktowano je kwasem solnym, poczem chlorek cynku, odparowany do suchości, badano za pomocą spektroskopu. Pasek zielony cechujący thallium nie wystąpił, lecz w miejsce jego pasek indygowy; barwa ta pochodziła od pierwiastku, który zdołano wydzielić w małej ilości. Wątpliwość znikła: nowy metal dawał pa-



sek mocnego zabarwienia błękitnego i otrzymał nazwę indium. Wypadki te zachęciły Reicha i Richtera do odbycia doświadczeń na szerszą skalę. Wzięto pod rozbiór 2 i pół centnara rudy i otrzymano tlenek indium, redukujący się łatwo na czysty metal strumieniem wodoru; część jednak indium, przechodząc w stan lotny, ginęła, nadając płomieniowi wodoru piękną barwę błękitną. Metal nowo odkryty jest biały jak srebro, zachowuje połysk w powietrzu i w wodzie wrzącej, posiada miękkość i ciągliwość w wysokim stopniu, topi się w téjże samej temperaturze co i ołów, a ciężkość jego gatunkowa wynosi 7,11 do 7,27. Indium zdaje się łączyć z tlenem w jednym tylko stosunku, równie jak z chlorem; ten ostatni związek łatwo otrzymać, traktując tlenek węgla i strumieniem chloru. Nowy pierwiastek należeć będzie zapewne do grupy magnezyum, cynku i kadmiu. Siarczyk indium jest kolorowy, podobnie jak siarczyk kadmiu; barwa jego jednakże jest ciemniejsza, więcej czerwona.

\* \* \*

Wiadomo że dyament jest skryształizowanym węglem; oba te ciała powstają z jednej materji, w ułożeniu się jedynie pomiędzy sobą atomów zachodzą różnice. Z tego punktu wychodząc, próbowano oddawać tak drogą moką jak suchą skryształizować węgiel. Praca obiecywała zbiory obfite, zbożenie się łatwe, bez potrzeby udawania się po złoto do Australii; poka więc była wielka i znaczny zastęp pracowników działać zaczął w tym kierunku. Węgiel jednak pozostał czarnym, nieczułym i upartym. Siarka, bizmut, po stopieniu, stygnąc powoli, osadzają piękne kryształy; kwas azotny, jakkolwiek rozpuszcza węgiel, żadnych krystalicznych osadów nie pozostawia; węgiel drzewny w najwyższych nawet temperaturach nie zmienia składu atomistycznego, kamienny zaś wydaje koks, w miejsce błyszczących dyamentów.

Te próżne wysiłki nie zniechęciły p. Chancourtois, naczelnego inżyniera kopalń, w poszukiwaniach nad sposobami kształtowania się dyamentów i sztucznego ich otrzymania. Teorią jego, nową i oryginalną, podajemy.

Siarkę z solfatarów (\*) pochodzącą, powiada on,

(\*) Wulkan wygasły przyjmuje nazwę solfataru. Wydaje on tylko pary i gazy, a zwłaszcza wodór siarkowy, z którego

wytwarza gaz siarkowodorowy, przeciskający się przez rozpadliny tufów wulkanicznych i mieszający z atmosferą. Tlen powietrza łączy się z wodorem i tworzy wodę; część siarki utlenia się, przechodząc na kwas siarczany, część zaś jej pozostała osadza się w kryształach. Zamieńmy teraz emanacje siarkowodorowe na emanacje węglowodorne, a też same reakcje się objawiają; część tylko węgla przejdzie w stan kwasu węglanego, reszta zaś osadzi się w kryształach węgla, czyli w dyamentach.

Opinia p. Chancourtois nie jest bez pewnej podstawy. Dyament napotykaną bywa szczególnie

## TYPY I POSTACIE LUDOWE.



CHEOP PODOLSKI W POLU PRZY ROBOCIE. (Rysował z natury Przyszychowski.)

w itakolumitach (\*\*\*) i w piaskowcach z ochrą żelazną połączonych, sięgających formacji dewońskiej, sąsiadującej z węglową, przejętej bituminem, gdzie wywiązywanie się wodoru węglowego jest najobfitsze. Nie idzie jednak za tym, aby dyament koniecznie był tam, gdzie bitumin znajduje się w wiel-

w części osadza się siarka, w części zaś powstaje kwas siarczany, z przyległymi oczkami jednocześnie w związki wchodzący.

(\*) Itakolumit, z gór Itakolumi w Brazylii pochodzący, nazywa się także piaskowcem giętkim.

kich ilościach; przeciwnie, kształtować się on może tylko wtedy, gdy przez rozpadliny skorupy ziemskiej przepływają wodorki węglowe w stanie lotnym, i to bardzo powoli, co jest koniecznym do wytworzenia pięknych krystalizacji, których typem jest dyament.

Olejki nafty, skutkiem niezupełnego utleniania się, winny podobnie wyłączać węgiel, jakkolwiek ten nie krystalizuje się, lecz pozostaje w roztworze. Grafit, służący do wyrobu ołówków, jest także rodzajem osadu powstającego z parowania podobnych roztworów. Ślady roślin wykrytych w dyamentach

popierają teorią p. de Chancourtois; widocznie krystalizacja odbywała się w niskiej temperaturze tam gdzie istniała roślinność, ponieważ jej szczątki w kryształach znajdujemy.

Jeżeli dyament w ten sposób formował się w naturze, a mianowicie przez rozkład drogą moką gazów węglowych, wypadłoby ztąd że mogłyby tworzyć się i sztucznie w tych samych warunkach. Twórca hipotezy przypuszcza, że podając powolny strumień wodoru z parą wodną łagodnemu utlenianiu w masie piasku zawierającego materję rozkładową, na przykład mączkę, węgiel odosobni się i skryształizuje. Uplywy z rur podziemnych gazów oświetlającego, w takim razie byłyby bardzo podobne do źródeł naturalnych gazów węglowodornych, a tym samym pod naszymi stopami wytwarzałyby się bezwiednie proszek dyamentowy. Myśl tę śmiało, niepospolitą oryginalności, rzuca właśnie p. de Chancourtois. Cokolwiek bądź, pogląd jego, z powodu swej nowości, zasługuje na zano-towanie.

\* \* \*

Dzieło Wiktora Hugo *Pracownicy morza*, zwróciło uwagę ogółu na dziwne istoty zalu-dniające morza, groźne dla pływaków. Poeta zobra-

zował w nim potwór w postaci masy miękkiej, zimnej, lepkiej, galaretowatej, przywierającej do ciała klejowatymi kleszczami, wysysającymi krew z człowieka. Ów kraken legendowy, odrażający, obrzydliwy, straszny, nazywa się: głowonogiem.

Zaiste, zwierzę to ciekawe. P. Moquin-Tandon, słynny naturalista, pod pseudonimem Alfreda Fredol wydał pyszną publikację „*Le Monde de la mer*,” w której znajdujemy opisy twórców morskich, a między innymi mięczaków głowonogich, najdokładniej zbadanych. Drugie wydanie tego dzieła, pomnożone rysunkami, niedawno opuściło prasę. Korzystamy



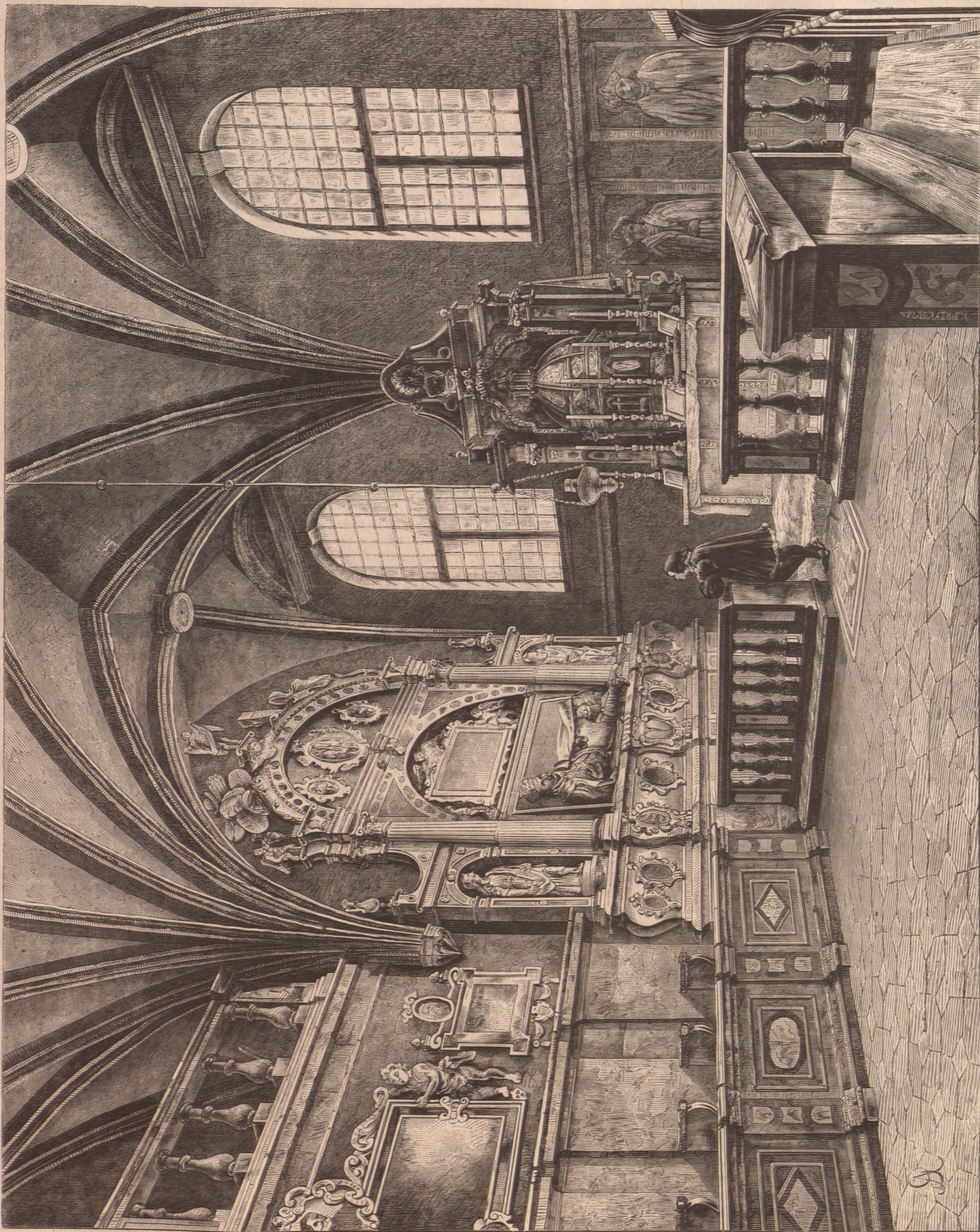
z tej pracy naukowej, aby prawdę naprzeciw powieści postawić.

P. Fredol opisuje głowonoga w ten sposób: „Wyobraźmy sobie, powiada on, worek gęsty i łykowaty, jajkowatego lub walcowatego kształtu, gładki, lepki, przedstawiający w jednym końcu wielką, okrągłą

P. Fredol odróżnia trzy główne grupy tych mięczaków: *sepie*, opatrzone tylko na końcu banikami, *ośmionogi*, mające dwa rzędy baniek i *eledony*, zupełnie ich pozbawione. Zwierzęta te mnożą się w oceanie i w morzu Śródziemnym; niektóre z nich przebywają ciągle w jednej przestrzeni, inne szukają wód

wonoga, którego odpływ morza pozostawił wśród mnóstwa drobnych rybek; szarpał on je straszliwie, nie pożerając, jakby tylko dla doświadczenia swjej zrzeczności.

Głowonogi wypróżniają się otworem umieszczonym w okolicach gardzieli, tuż przy dziobie, miejsce



KAPLICA BĄTOREGO W KATEDRZE KRAKOWSKIEJ. Kopia z obrazu Gryglewskiego, który w r. 1865 znajdował się na wystawie warszaw. Tow. zachęty sztuk pięknych, nabyty przez amatora

głową, z ogromnemi, płaskimi po bokach oczami, a na wierzchu otwór pyskowy, a raczej dziób rogowy twardy i ostry, jak u papugi; dokoła dziobu dodajmy osiem lub dziesięć silnych ramion, z których dwa tylko są niepospolitej długości, a będziemy mieć obraz dziwnych i straszliwych mięczaków, które Cuvier nazwą *Cephalopoda* (głowonogie) oznaczył.“

głębszych, żywiąc się skorupiakami, krabami i rybami. Są to istoty przebiegłe; z rozpostartemi członkami w ukryciu na zdobycz czatują, a upatrzwszy stosowną chwilę, obejmują ją duszącym uściskiem, rozdzierają dziobem i pożerają bez litości. Niekiedy pastwią się nad ofiarą z okrucieństwem. Alcyd d'Orbigny obserwował małego głow-

zaiste osobliwsze; ich organa oddychalne znajdują się w worku i wiele mają podobieństwa do liści paproci. Natura zaopatrzyła te dziwne twory trzema sercami, a raczej jednym na trzy części podzielonym. Niektóre uganiają się za zdobyczą tylko w czasie nocnym, lub kiedy zmierzch zapada, podobnie jak ćmy. Ramiona głowonogów uzbrojone są



we dwa albo trzy rzędy baniek, czyli ssawek kształtu okrągławego, z otworem w środku komunikującym z wnętrzem i złączonym z rodzajem wałeczka; ssawki te przylegają silnie do śliskiego, lepkiego ciała ryb i innych mieszkańców morza. W jednym takim potworze naliczyć można do 900 baniek.

Ciekawe te zwierzęta posuwają się zawsze ze spuszczonej głową, a ramiona służą im w miejsce nóg. Pewne ich gatunki, przebywające w oceanie Spokojnym, skaczą po falach, dosięgając w rzucie niekiedy pomostu statków żeglujących. Czy to ma radość czy gniew oznaczać, żaden dotąd naturalista nie objaśnił.

Cephalopody wewnątrz ciała mieszczą sakwę napelnioną czarnym jak atrament, niekiedy ciemnofioletowym płynem; za pomocą małego kanału, zbiornik ten komunikuje z powietrzem zewnętrznym, a w razie napaści nieprzyjaciela, zwierzę wyrzuca ów płyn, zamąca nim wodę i umyka. Z ciemnej tej cieczy powstaje farba w malarstwie używana, znana pod nazwą *sepii*. Pod skórą na grzbiecie zwierzęcia, istnieje ciało płaskawe, dające się na proch uciierać, zwane *kością sepii*, albo sucharem morskim. Wzrost głowonogów nieruchomy, sprawia nadzwyczaj nieprzyjemne wrażenie, oczy ich błyszczą w nocy jak u kota. Niosą one jajka nakształt gron rozgałęzionych; rybacy też nazywają je *morskimi gronami*. Niektóre gatunki w stanie rozjątrzenia zmieniają barwę, jak kameleony.

Uścisk głowonoga jest niebezpiecznym, niełatwo bowiem wyrzeka się zdobyczy. Pewien oficer artylerii, kąpiąc się w okolicach Algieru, schwycony został za nogę ramionami olbrzymiego ośmionoga. Na krzyk jego zbiegli się towarzysze, poczwara jednak nie puszczała ofiary, i dopiero mocny ocet, nalany na głowę mięczaka, zniewolił go do cieczi.

P. Vérany wzmiankuje o ośmionogu długim prawie na 6 stóp i ważącym blisko 30 funtów. Około Nicei złowiono tegoż gatunku mięczaka ważącego 37 funtów. W porcie Cette, dwadzieścia lat temu, schwytano głowonoga długości 6 stóp i 4 cale, znajdującego się obecnie w zbiorze okazów historii naturalnej w Montpellier. Wędrowiec Péron napotkał w pobliżu wyspy Van-Diemen ogromnego ośmionoga, posuwającego się z trudnością po falach; ramiona jego dochodziły 10 stóp 2 cali długości, a 8 cali przeszło miały średnicy przy podstawie; wiły się jak obrzydłe węże. Quoy i Gaynard dobyli z oceanu Atlantyckiego szczątki kolosalnego mięczaka; waga ich, pomimo że brakowało połowy ciała i ramion, wynosiła blisko 124 funtów.

W obec tych faktów niepodobna zaprzeczać niezmiernemu rozwojowi organicznemu tych dziwnych istot; ciekawe wreszcie noty, złożone paryżkiej akademii nauk przez p. Bouyer'a, dowódcę statku parowego Alekton, i p. Sabin Berthelot'a, konsula francuzkiego na wyspach Kanaryjskich, rozstrzygają wszelkie wątpliwości.

Alekton przepływał około Madery, kiedy nagle posłyszano okrzyk: Bacność! jakaś masa niekształtna poruszała się na wodzie. Dowódca statku natychmiast, na widok potwornego głowonoga, rozkazał nabić broń, przygotować harpuny i liny węzłowe i wykonać stosowny obrót. Cała osada była w ruchu, zwierzę zaś przypatrywało się temu wszystkim czas jakiś, a potem cofnęło się. Po następnym strzale zanurzyło się całkiem, przepłynęło pod statkiem i ukazało się z drugiej strony. Rzucono harpuny i kule posypały się gradem bez żadnego skutku. Potwór przyjmował pociski obojętnie, nurząc się tylko na chwilę i znowu wychylając. Łowy takie trwały trzy godziny; walka wyczerpywać zaczęła cierpliwość, a jednak z wysłaniem łodzi wstrzymać się wypadało, zwierzę bowiem mogło z łatwością objąć swemi kolosalnymi ramionami szalupę i zatopić ją bez wysiłku. Harpuny zagłębiały się w masie miękkiej i wynurzały z niej jak widelec z galarety; kule przechodziły na wylot ogromne cielsko, nie czyniąc wielkiej szkody. Jedna z nich tylko trafiła zwierzę boleśniej i wtedy wyrzuciło ono natychmiast masę piany i krwi, zmieszanych z materią lepą, która rozlała dokoła mocny zapach piżma. W tejże chwili harpun i lina ujęły silnie zwierzę. Zwycięstwo! Osada rzuciła się energicznie do windowania zdobyczy i większa część mięczaka dobytą z wody już została, kiedy ten gwałtownym ruchem uwolnił się od harpuna, a je-

dnocześnie wzięły liny, nie mogąc utrzymać ogromnego ciężaru tej szarpającej masy, przerzuciły ją na dwoje. Częstkę zaledwie ogromnego cielska udało się wydobyć; ważyła ona 50 fun., jak to sprawdzono na Teneryfie, gdzie złożoną została. Głowonóg ten, nie licząc straszliwych ośmiu ramion, opatrzonych bańkami tryskającymi od głowy, miał długości około 21 łokci; oczy jego przerażająco nieruchome, potworne, miały barwę modrawą; otwór dziobu podobnego do papugi, wynosił 20 cali pols.; cielsko mocno nabrzmiałe ku środkowi, przedstawiało ogromną masę, której wagę w przybliżeniu na 5000 funtów podać można; bańki też były znakomitej objętości. Zdaje się że olbrzymi ów ośmionóg spotkany przez Alektona, znużony był świeżą walką lub słaby; to przynajmniej objaśnić może, dlaczego opuścił głębię oceanu i skały służące mu za schronienie, dlaczego ruchy jego były ciężkie, dlaczego nakoniec nie zabarwił fal czarnym płynem.

W morzu Śródziemnym, szczególnież też na wybrzeżach Włoch południowych, łowią wielką ilość głowonogów mniejszego wymiaru; ramiona ich dochodzą 21 cali długości, a szerokość zwierzęcia wynosi 4 i pół stopy. Rybacy neapolitańscy gotują te mięczaki w wodzie morskiej; galaretowate, szarawe mięso przyjmuje wtedy kolor czerwony zewnątrz, a wewnątrz biały, tężeje i ma wiele podobieństwa do mięsa homara i langusty szorstkiej (\*). Gotowanie działa tu jak na białko jajka, które w stanie surowym zawiera materię lepą, a w temperaturze 70° Cels. twardnieje. Mięso tak przygotowane mięczaków jest bardzo smacznym, chociaż trochę niestrawnym, jak skorupiaków i jaj na twardo gotowanych.

\* \* \*

Mieszanina kwasów solnego i azotnego, czyli tak zwana *woda królewska*, wyłączną dotąd posiadała własność rozpuszczania złota; obecnie uczonego profesor, p. Nicklés z Nancy, okazał, że metal szlachetny rozpuszczają także inne płyny, a mianowicie dwuchlorki i dwubromki z eterem połączone, oraz półtorachlorki i półtorabromki, nawet bez obecności eteru. Listek złota poddany tym związkom, znika jak cukier w wodzie. Materja coraz więcej ulega człowiekowi; potassium i sodium, dwa metale, które łącząc się z tlenem, wydają potaż i sodę, posługiwać będą mogły również wybornie do wydzielania złota i srebra, które otrzymywano dotąd z rud przez amalgamację, korzystając z własności merkuryusza łączenia się z niemi, co jednak przedstawiało niejaki trudności w razie napotkania ciał obcych, tłustych, wtedy bowiem, na skutek rozpraszania się merkuryusza, ubytek na złocie i srebro był znaczny. Niedogodności te znikają zupełnie za dodaniem do merkuryusza potassium lub sodium. Środek ten doskonały wykryło prawie jednocześnie dwóch chemików, spiérających się obecnie o pierwszeństwo odkrycia, to jest p. Crookes Anglik i p. Henryk Wurtz w Stanach Zjednoczonych Ameryki zamieszkały. Mieszanina sodium i merkuryusza przysposabia się wcześniej i przechowuje w naczyniu zamkniętym; następnie pewną część tego amalgamatu rozpuścić trzeba w merkuryuszu użyć się mającym do amalgamacji rud, z uwagą aby ilość sodium nie przechodziła  $\frac{1}{150}$  wagi merkuryusza użytego, który wtedy rozpuszcza drogie metale i nie rozprasza się w drobne kulki, jak to bywało przy dotychczasowej metodzie. Dla eksploatacji zwłaszcza amerykańskiej, wynalazek ten będzie niezmiernie ważnym.

N.

## Kronika bibliograficzna.

Zriny, tragedia z dziejów węgierskich w 5ciu aktach, Teodora Körnera. Przełożył wiérsem rytmicznym-Ludwik Jenike. Warszawa, 1867, Ska, str. XIV i 90, (kop. 60).

O ile wnosić możemy z prac dotychczas drukiem ogłoszonych, pan Jenike wziął sobie za zadanie obznajmianie powszechności naszej z arcydziełami ob-

(\*) Homar (*Astacus marinus*) równie jak langusta szorstka (*Palinurus vulgaris*) należą do rzędu raków pancernych (*Thoracostraca*).

cego, a zwłaszcza niemieckiego, piśmiennictwa, przepolszczając je wiérsem rytmicznym, mało dotąd u nas uprawianym. Zadanie to i wdzięczne i pożyteczne. Niewłaściwemby było rozszerzanie się w tym miejscu z pochwałami dla tłumacza; słuszność jednak wymaga zwrócenia uwagi czytającego ogółu na niniejszy przekład tragedji Körnera, dokonany z wielki sumiennością i odznaczający się dwiema zaletami, niezawsze w tłumaczeniach sportykanemi, a mianowicie gruntownym pojęciem oryngału i czystym a jedrym językiem.

Jeden rozdział do przyszłej księgi przysłów polskich i t. d., Kijów, 1867, 8ka, str. 85, (kop. 40).

Autor tej niewielkiej ale zajmującej książki w przedmowie uprzedza, iż przysłowia które zebrał, nie dotyczą filozofii moralnej; są to raczej pamiątki domowe, prowincjonalne, często nawet zaściankowe, ale zawsze historyczne (t. j. zapewne historyczne w tym znaczeniu, iż nie wymyślone). Wiele z nich dawno zapomnianych, wydobył autor ze starych druków. Ważnym tu jest iż z przekonywającą szczerością przyznaje, że dla objaśnienia zebranych przysłów nie dorabiał anegdotek „własnego konceptu“, co nieraz zarzucić można innym badaczom, pracującym na tym samym polu. Ztąd zbiorzek ten, niezaprzeczenie ciekawy i oryginalny, nabiera jeszcze większej wartości. Autor jego, jak sam wyznaje, nie jest literatem z profesji, ale widocznie lubi „grzebać w starych drukach“ i miejscowych podaniach. Sądziemy iż byłoby korzystnym dla naszego piśmiennictwa, gdyby poszukiwał swych nie zaniebrywał i dalej „bawił się piórem“ w tym samym kierunku.

O początku i rozmaiłości mowy. Prelekye publiczne profesora J. Papłońskiego, (wydanie drugie). Warszawa, 1867, 12ka, str. 88, (kop. 30).

Streszczenie dwóch publicznych odczytów sz. profesora, z dnia 18 i 22 stycznia r. b., wychodzące w krótkim czasie w drugim wydaniu, jest niezaprzeczenie faktem wielce pocieszającym; dowodzi bowiem iż filologia, poważnie pojmowana, liczy znaczny zastęp zwolenników pośród naszego czytającego ogółu. Okoliczność ta pozwala przypuszczać z drugiej strony, iż może skończą się wreszcie opłakane czasy, w których mieliśmy tylu nieproszonych i niezdarnych prawodawców językowych, i nasze domorośle gramatyczne, a zwłaszcza ortograficzne, Solony przekonają się, że aby wyrokować w kwestjach lingwistycznych, niedość posiadać pewien zapas śmiałości i szkolny kurs gramatyki; że wiele trzeba badać, porównywać, uczyć się jednem słowem, by pozyskać autorytet w sprawach językowych. Rzecz p. Papłońskiego o początku i rozmaiłości mowy, jakkolwiek lekko i przystępnie skróślona, samem przytoczeniem mnóstwa ciekawych faktów dowodzi, ile pracy filologiczna nauka kosztuje, jeżeli kto nie chce puszczać się na łatwe pole filologicznych fantazyj.

Mowy i zagajenia *Wincentego Smaczińskiego*. Warszawa, 1867, 8ka, str. 141, (rs. 1).

W książce tej zebrał autor mowy, jakie mięwał w ciągu swego pedagogicznego zawodu do wychowawców rozmaitych szkół i zakładów publicznych, tak przy otwarciu, jak i przy zamknięciu kursów, i dawnym swym uczniom je poświęcił.

Banki zaliczkowe dla rzemieślników, przez *Aleksandra Makowieckiego*. Warszawa, 1867, 8ka, str. 16, (kop. 15).

Niewielka ta, ale ważna swą treścią broszura, traktująca o przedmiocie nader żywotnym dostępnie i jasno, drukowaną była poprzednio w naszym piśmie.

Prawdziwa historia lat młodych Antoniego Kostura, z papierów pozostałych po nim przez *Grzesia z Mogiły* wypisana i t. d., Warszawa, 1867, 12ka, str. 138, (kop. 50).

Prawdziwa historia Antoniego Kostura należy do niewielkiej liczby tych popularnych dziełek, w których, oprócz dobrej woli autora, znacznych dążeń i dokładnej znajomości traktowanych przedmiotów



widocznym jest jeszcze talent pisarski w opowiadaniu. Autor bardzo szczęśliwie zespolił część dydaktyczną w swęj książeczce z częścią powieściową; ztąd przygody jego bohatera prawdziwe budzą w czytelniku zajęcie. Antoni Kostur, nie jest to postać konwencyonalna, jeden z tych wieśniaczych typów, które ekliwość tylko wzbudzają, a których tyle znajdujemy w naszym tak zwanem piśmiennictwie ludowem; owszem jestto osobistość żywa, charakter głębiej pomyślany i dlatego czytelnik szczerze z nim sympatyzuje. Toż samo prawie powiedzieć można o drugiej osobie działającej w tęg „przwdziwęj historii,” a mianowicie o Grzesiu. Wzywamy autora, by ogłosił drukiem i inne papiery po Antonim Kosturze pozostałe, jeżeli te są tyle zajmujące, co niniejsza historia lat młodych.

Pamiętnik starego wiarusa. Ogłosił *Celestyn Aureli Prawdzic*. Żytomiérz, 1866, 8ka, str. 62, (kop. 50).

Pan Celestyn Aureli Prawdzic widocznie po raz pierwszy wziął się do autorstwa, wydając Pamiętniki starego wiarusa, i zdaniem naszym postąpił sobie bardzo nieogłędnie. Powieść bowiem przezeń skłconą, odznacza się tylko wielką pretensjonalnością i jeszcze większą nieznanomością języka i gramatyki. Czytając pierwszy frazes pamiętników: „A czy znasz ty bracie Inflanty, jég rycerskie zamki, jég feudalne czasy?” chętką bierze odpowiedzieć: „Inflanty, bracie, znam o tyle przynajmniej, iż wiem że jestto rzeczownik używający się jedynie w liczbie mnogiej; a ty, bracie, i tego nie wiedziałeś.” Takim językiem pisane są całe pamiętniki.

*Jan Scherr*. Kobięty, studjum dziejowe. I, Aspazyja. Warszawa, 1867 r., 16ka, str. 35, (kop. 15).

Na str. 16 tęg broszurki czytamy, że dotąd „w obrachowaniach historycznych pomijano zupełnie dwie najważniejsze cyfry: „ludzką głupotę i namiętność ludzką.” Otóż sądzimy że autor Aspazyji, wydając to „studjum dziejowe,” przedewszystkiem owe dwie cyfry miał na widoku; bo gdyby rachował na rozsadek i przyzwoitość, pewnoby jég nie drukował.

Świat roślinny, przez Karola Müllera, spolszczył *Hipolit Witowski*. Tom I. Przygotowanie do podróży. Kraków, 1867, 8ka, str. 330, (cena dwóch tomów rs. 3).

Jestto VII tom ogólnego zbioru, wychodzącego w Krakowie p. t. „Wydawnictwo dzieł tanich i pożytecznych.” W pierwszym tomie Świata roślinnego znajdujemy ogólny pogląd na państwo roślinne, dzieje roślinności, fizjognomikę roślin i geografiją botaniczną. Pod względem terminologii, tłumacz trzymał się wskazówek dr. J. R. Czerwiakowskiego. Dzieło to, napisane nader zajmująco, wydane jest przytém bardzo starannie; papier dobry, druk piękny i drzeworyty, w liczbie dwóchset, wielce się przyczyniają do zrozumienia tekstu, zalecając się dokładnem wykończeniem i odbiciem.

Dla rolników. Zbiór osiemdziesiąt kilku różnorodnych rotacyj, z uwagami o podniesieniu rolnictwa i t. d. przez *Paulina Kochanowskiego*. Warszawa, 1867, 12ka, str. 71, (kop. 30).

Nie naszą jest rzeczą wchodzić w rozbiór praktycznej wartości tęg książeczki; ubolewamy tylko iż p. Kochanowski w rotacjach swych pozostawia odłogiem niwę gramatyczną i strasznie zaniedbuje tęg gałęź gospodarstwa krajowego.

Wykład snów, czerpany z ksiąg starożytnych i nowoczesnych i t. d., ułożył *J. B.* Warszawa, 1867, 8ka, str. 128, (kop. 40).

Wykład snów nie mówi co może oznaczać, gdy komu się śni że się go czyta, ale na jawie można być pewnym, iż czytanie podobne sprawi znudzenie i wielki niesmak.

Krótki rys fotografii praktycznej, napisał z własnego doświadczenia amator fotografii *B. S.* Warszawa, 1867, 16ka, str. 37, (kop. 30).

O niektórych specjalnych gałęziach fotografii. Przez *F. Wermińskiego*. Warszawa, 1867, 8ka, str. 31, (kop. 30).

Druga ta broszurka jest oddrukiem z Przeglądu Technicznego za miesiąc grudzień 1866 r.

Miesiąc Maj, uwielbieniu niepokalanego serwa Maryi poświęcony, napisał ks. *St. Ulanecki*. Wydanie drugie. Warszawa, 1867, 16ka, str. 179, (kop. 15).

*Włodzimierz Górski*.

## Gawędy ekonomiczne.

### 4. Drożyzna.

Donosisz, kochany Józefie, o drożyznie panującej w miastach prowincjonalnych, zalisz się na chciwość producentów artykułów żywności, na dostawców drzewa, na właścicieli lokalów, i nfe umiesz sobie wytłumaczyć powodów tęg drożyzny.

Otóż rozważmy przez co możnaby usunąć drożyznę, na którą mieszkańcy Warszawy podobno więcęg jeszcze mają powodów się uskarżać, niż wy prowincjonalności. Rzecz tęg wszakże rozpatrujemy nie ze stanowiska ekonomicznych eksperymentów, ani też względów moralnych, lecz tak prosto z mostu, z punktu potrzeb materialnych ludności.

Jakież są najkonieczniejsze potrzeby materialne? odpowiedź łatwa: jeść, odziać się i mieszkać. Dotąd zgoda. Lecz rozwijając dalej tęg materiją, natrafiamy na różność zdań pod względem pojęcia tych potrzeb koniecznych. I tak, bogaty pan chciałby zjadać pasztety i bażanty, jęgo służący pragnie chociaż kapłonów i kurecząt na pieczyście, a zaledwie biędny wyrobnik poprzestaje na chlebie powszednim.

Zaprzeczyć nie można, że każdy z tych konsumentów ma swoje prawa i słusznie przy nich obstaęje. Lecz skutek ztąd taki, że każdemu trzeba dostarczyć czego wymaga, i to tęg słuszniej, że płaci gotowizną, bo dawać na kredyt dziś już wyszło z mody.

Otóż stają naprzeciw siebie dwa bardzo naturalne obowiązki: z jednej strony płacić gotówką, z drugiej dostarczać. Dostarczyciel albo sam jest wytwórcą (producentem), albo też jest tylko przekupniem. W pierwszym razie dostarcza to, co sam wytworzył, nie wiedząc co wytworzyli i zdolni są dostarczyć jęgo koledzy; w drugim zaś wypadku dostarcza rzecz wytworzoną przez innych.

Ten drugi ródzaj dostawców, zwanych, stosownie do rozciągłości ich zadania, kupcami lub przekupniemi, jest właściwym regulatorem targów, albo jaśnie mówiąc, cen kupna i sprzedaży. Nazywam go zaś regulatorem dlatego, że będąc pośrednikiem pomiędzy wytwórcą i spożywcą (konsumentem), najlepiej ocenić może zasobność pierwszych i wymagania drugich.

To nader ważne stanowisko w hierarchii społecznej, jakie zajmują kupcy, wkłada na nich szczególny obowiązek wyteżania wzroku z jednej strony na potrzeby spożyców, z drugiej na stan produkcji. Wszak jeżeli nie można wymagać od prywatnego człowieka, iżby interes ogólny zawsze przekładał nad swój własny, to jednak godzi się zwrócić jęgo uwagę na punkt, w którym te interesa schodzą się ze sobą.

Otóż nie bardziej zależnem nie jest od mas ludności kupującej, jak osobisty interes handlującego. Jeżeli ludność potrzebuje chleba, to logicznem tęg potrzeby następstwem targi zaopatrywać należy w chleb, nie zaś w srebro lub jedwab. Doświadczenie stwierdza, że im droższy jest chleb, tęg mniej pokupu bywa na przedmioty zbytkowe. A w takim razie byłoby właściwym upór tego, któryby chciał wbrew ogólnęj potrzebie obstaęać przy handlu towarem niezajdującym odbytu? Sądzę że odpowiedź na to pytanie nie podlega żadnej wątpliwości.

W wielkich przewrotach ekonomicznych handel doznaje stagnacyi. W takich razach, jeśli znaczne kapitały znajdowały się w obrocie, muszą zdarzać się bankructwa. Bankructwa dotykają nietylko pojedyncze osoby, lecz i ogół, dlatego, że budzą przestrach w sferach handlowych, odstręcają od zawierania transakcyj i zatrzymują w biegu produkcją, na czem ostatecznie tracą spożywcy.

Cós podobnego dzieje się i u nas. Wprawdzie o bankructwach tak dalece nie słyhać, niemniej przecięć widoczną jest stagnacya

Takie usposobienie ogółu musi znaleźć odbicie i w handlu, a źle jest jeśli go nie znajduje. Chęć powiedzieć że kupcy w interesie własnym, w interesie ludności kupującej, winni baczną zwrócić uwagę na jęg bieżącą potrzebę, porzucić, może tylko na czas niedługi, srebro i bławaty, a wziąć się przedewszystkiem do handlu przedmiotami koniecznej potrzeby, płodami miejscowego wyrobu. Tym sposobem zwróćą producentów na drogę działalności odpowiadającej rzeczywistęj potrzebie, podniosą jęg rozwój we właściwym kierunku i sami powetują straty, jakie skutkiem stagnacyi handlowęj ponieśli.

Łatwo zrozumiesz, kochany Józefie, co za tęg pójdzie. Oto zaopatrzenie targów w artykuły koniecznej potrzeby, wpłynie na obniżenie cen, drożyzna dzisiejsza się skończy, lub przynajmniej znacznie zmniejszy, a stanie się to ze wspólną korzyścią spożyców, handlujących i producentów. Wszyscy bowiem jesteśmy spożycwami, wszyscy tęg mamy żywotny interes w tęg, aby było tanio; na drożyznie nikt nie zarabia, nawet kupiec i producent, bo o ile zyskują na cenie, o tyle tracą na ilości odbytu.

W objawach ekonomicznych niema przypadkowości, owszem każdy fenomen jest logicznem i koniecznem następstwem przyczyn działających. Z powyższego przeto wywodu przyjdiesz do przekonania, że fenomen drożyzny nie jest następstwem chciwości sprzedających, lecz ma swoję przyczynę w braku konkurencyi dostawców. Ten brak konkurencyi może jest dogodny dla pewnych osób, może podnieca w nich chęć nadmiernego zarobku, lecz te wyjątkowe osoby nie sprowadzają drożyzny. Sprowadza zaś ją ta okoliczność, że albo kupcy nie działają w duchu bieżącej potrzeby, lub tęg że jest ich zamało, iżby w równęj mierze zdołali zaopatrzyć wszystkie potrzeby spożyców.

Ten właśnie ostatni wypadek u nas zachodzi: zamało garniemy się do handlu, a i tak jeszcze większość handlujących bierze się zwykłe do sprzedaży rzeczy cennych, pięknych, wytwornych, lechących gust i oko, a rzadko do tych właśnie, które stanowią rdzeń bytu codziennego, do rzeczy powszechnego użytku. Ta, że się tak wyrażę, galanteria handlowa, to schlebianie modzie i próżności, jest przyczyną rozstroju ekonomicznego, z którego wyjść nie możemy.

*Z. Morski*.

## Friemann i Duleba.

Czasy Haydnów, Mozartów i Mendelsohnów minęły, geniusz inwencyi prawdziwie muzycznej przycichł, rzecz można, od lat dwudziestu; ale smak i zamiłowanie coraz bardziej powszechnieją, przenikając wszystkie warstwy ludności i stając się niejako potrzebą duchową każdego.

Szkoły muzyczne, istniejące po wielkich miastach, instytucye wyłącznie dla tego przeznaczone celu, (Orfeonisci we Francyi), publiczne koncerty, rozliczne wydawnictwa dzieł znakomitych mistrzów, najlepiej świadczą o potrzebie muzyki, jako jednego ze środków wychowania, więcęg nawet, jako środka cywilizacyjnego, a zarazem o spopularyzowaniu jednéj ze sztuk pięknych, niedawno w wyłącznem posiadaniu niewielu zaledwie zostającej. Istotnie tęg, kiedy znajomość harmonii, kontrapunktu i w ogóle wszystkich tajemnic sztuki tkwiły dawniej zakłęte w małym kółku wybrańców, dziś przeszły one mniej więcęg do świadomości ogólnęj. Artyści występujący publicznie, wiedzą o tęg zmianie zaszłęj w ukształceniu muzykalnem, wiedzą że ażeby podbić serca słuchaczy, potrzeba czegoś więcęg jak pokonania trudności mechanicznych. Wiedzą oni i to zapewne, że minął już czas kiedy szukano w muzyce lekkieć tylko i częcęg rozrywki, że dziś przeciwnie celem prawdziwych artystów powinno być oczyszczenie muzyki z tendencyi przeważnie materialnych, które, jak wszędzie tak i tutaj, zdołaly się wedrzeć na wyłom. Uczucie uszlachetnione, wiążące duszę naszą z nieśmiertelnością — oto co stanowić winno podstawę sztuk pięknych, a więc i muzyki.

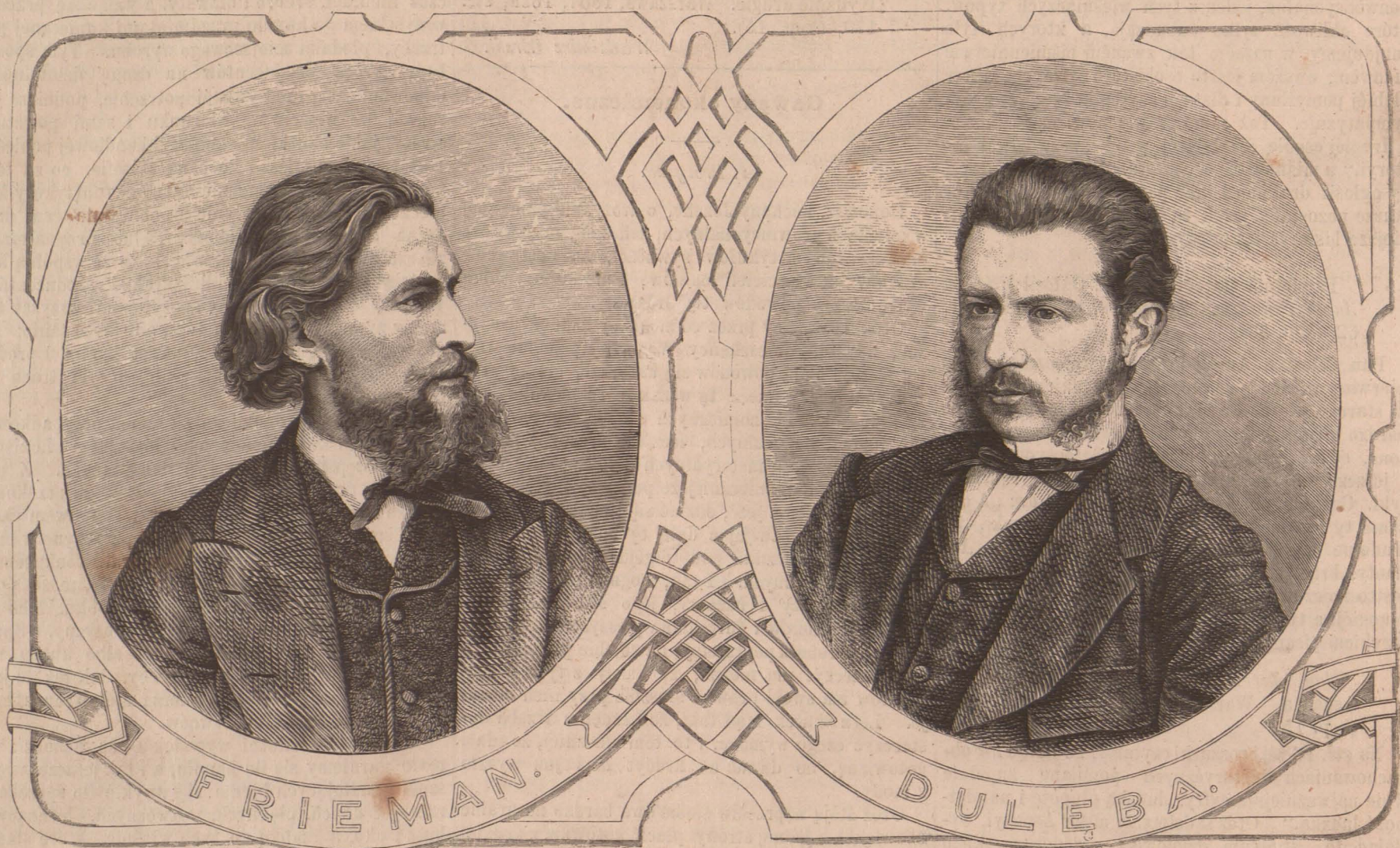
Zdanie to stosuje się nietylko do kompozytorów, ale i do wykonawców. Artysta wykonywający dzieło obce, jest jakby drugim twórcą. On je ożywia swojem tchnieniem, on w formę już odlaną wlewa



część swego ducha i stwarza całość poetyczną; on wreszcie dziełu nadaje wdzięk coraz nowy. Estetycy muzyczni dar ten nazwali technicznie ekspresją. Gdzie téj niema, gdzie artysta niewolniczo trzyma się reguł, nie starając się o odtworzenie charakteru

walczenia z jedną wielką, zewnętrzną wprawdzie i zmuszoną, ale nieuniknioną koniecznością: musi poświęcić kilkanaście lat pracy na wyuczenie się gimnastyki palców, na zdobycie sobie techniki w tym stopniu, żeby dlań trudności nie istniały. Koniecz-

nie, aż wreszcie w roku bieżącym dał nam się słyszeć w Warszawie we własnym koncercie. Krytyka przyznała mu grę pewną, okrągłą, ton pełen słodczy, energią połączoną z pewnością ataku smyczkowego i wysoce wyrobiony mechanizm.



SKRZYPEK FRIEMANN I FORTEPIANISTA DULEBA. (Podług fotografii Mieczkowskiego i Witkowskiego).

dzieła; gdzie, krótko mówiąc, nie znać samodzielności poetycznej, tam nie można spodziewać się wrażenia, a chłód wiejący od artysty, ośladnie słuchaczy. Ma jeszcze artysta - wykonawca do

ność ta jest tém smutniejszą, że często nie pozwala kształcić równocześnie ducha muzycznego w téj mierze, jakiej wymagają arcydzieła, jakiej wreszcie wymaga każda wyższego polotu umiejętność.

Uwagę powyższą, że smak muzyczny powszechnieje coraz więcej, śmiało zastosować możemy i do Warszawy. Powódz koncertów i poranków, przy dosyć licznym zawsze ich odwiedzaniu, najlepszym tego dowodem. Znakomici artyści naznaczyli sobie temi czasy schadzki w naszym mieście, nie bojąc się że im będzie zaciąsno. Istotnie téż każdy znalazł pomieszczenie w sercach słuchaczy. Podziwiano kompozytorów i egzekutorów posiwiających w tym pięknym a ciernistym zawodzie, nie odmawiając jednak należnego uznania i zachęty młodszemu, dążącemu naprzód z równym zapałem. Do nich to zastosować można słowa Getego: „Niechaj w dążeniu naprzód szczęście znajdują i cierpienie!”

Obok Ole-Bulla, sędziwego skrzypka, Friemann, obok tyloletniej sławy Litolffa i Antoniego Kątskiego, młody fortepianista Józef Duleba. Pierwszy (Gustaw Friemann), urodzony w Lublinie r. 1842, ucząc się początkowo u skromnych i nieznanymi nauczycieli, rozgorzał prawdziwym zapałem, skoro po raz pierwszy usłyszał w Lublinie Henryka Wieniawskiego. Zaprażył wtedy kształcić się zagranicą, lecz środki materialne nie pozwalały mu na to. Po długich i mozolnych usiłowaniach, wpadł na szczęśliwą myśl dawania koncertów w Cesarstwie. Kilka występów w Brześciu Litewskim, Kobryniu, Pińsku, Słonimie i Grodnie, dostarczyło mu potrzebnych funduszy na pobyt w konserwatorium paryżkiem. Tam, oddając się sumiennej pracy pod kierunkiem pana Massart'a, złożył w r. 1864 egzamin i został policzonym w poczet uczniów konserwatorium; w kilka zaś miesięcy później na konkursie otrzymał pierwszy medal za odznaczenie się. W r. 1865 przyznano mu premium, to jest skrzypce niepospolitej wartości. Z chlubnym patentem w kieszeni, udał się w artystyczną podróż do Belgii i nadreńskich prowincyj, gdzie dawał koncerty z powodzeniem. W r. 1866 mianowany został solistą dworu księcia heskiego; w tymże roku występował w Dre-

Józef Duleba, fortepianista, urodził się r. 1842 w Galicji. Niezawodną to rzeczą, że już w dziecięciu dostrzedz można pewne charakterystyczne rysy, będące jakby punktami wytycznymi przyszłości. Duleba okazywał tak wielkie zdolności i zamiłowanie do muzyki, że rodzice w tym kierunku kazali go kształcić. W czternastym roku życia wystąpił po raz pierwszy z koncertem, wzbudziwszy ogólne podziwienie. Był także jakiś czas uczniem ś. p. Józefa Lubowskiego. Wysłany do konserwatorium paryżkiego, bawił tam lat dwa, a powróciwszy dla interesów rodzinnych rychlej niżeli zamierzał, osiadł stale w stronach rodzinnych. Kilka koncertów, danych w ciągu kilku lat we Lwowie i Krakowie, zrobiło mu imię znakomitego

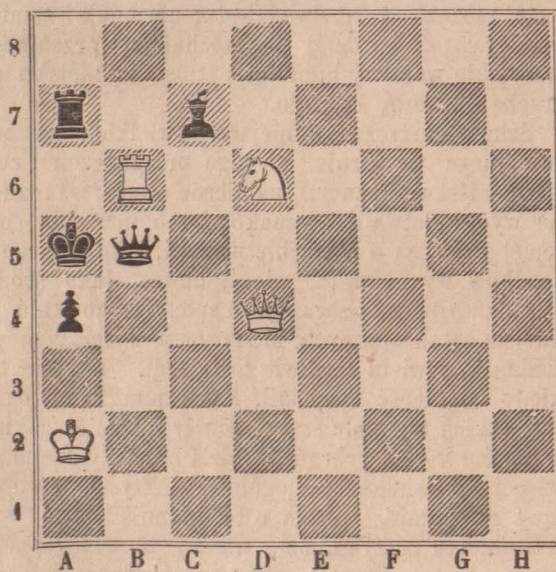
(Ob. dodatek).

### Szachy.

ZADANIE CCCLVII.

Białe zaczynają i dają matę za 2-ém posunięciem.

Czarne.



Białe.

Rozwiązanie zadania szachowego Nr. 356.

Białe.

Czarne.

- 1) E2—C4 białą . 1) B5—C4 białą (najlepiej).
- 2) F2—B2 . . . 2) E4—D5.
- 3) F1—C4 białą†. 3) D5—C4 białą, lub na C6.
- 4) D7—B6 lub B8† i mat.
- . . . . . 2) C3—E1 białą.
- 3) F1—C4 białą†. 3) E4—F5 lub E3 białą.
- 4) C4—G4, lub B2—E2† i mat.
- . . . . . 2) B1—D2.
- 3) B2—D2 białą . 3) C3—D2 białą.
- 4) F1—F3† i mat.

### Rebus.



Znaczenie rebusa umieszczonego w Nrze 400.  
Wieś dla miłośnika natury, wydaje się rajem na ziemi.  
(Dodatek).



pianisty. W r. 1863 dał koncert w Pradze czeskiej, o którym tamtejsze dzienniki z wielkimi odezwami się pochwałami, wiadomo zaś że sąd Pragi do dziś dnia w rzeczach muzyki ustaloną ma powagę. Przybywszy w r. b. do Warszawy, dał się słyszeć tu tejszej publiczności na koncertach pp. Szczepkowskiego, Friemana, Filleborna i Antoniego Kątskiego, z którym to ostatnim grał na dwa fortepiany. Krytyka jednomyślnie przyznała mu nadzwyczaj delikatne uderzenie (touche), olbrzymi mechanizm i charakterystyczne oddanie granych arcydzieł. Z własnymi kompozycjami nie wystąpił jeszcze dotąd p. Duleba publicznie. Powinniśmy mu to może zganić, sądząc z prób jakie nam się zdarzyło usłyszeć; wolimy jednak uszanować wolę artysty, dającego nam w zamian dzieła takich mistrzów, jak Beethoven, Bach Mendelsohn i Chopin.

Edward Lubowski.

## Śmierć Bekwarka.

(Fantazja).

### I.

W zamku krakowskim, w przepysznój komnacie,  
Siedział król August w bolesnej zadumie.  
Serce pękało po Barbary stracie,  
Ulgi nie mając w gorzkich uczuć tłumie.  
Anioł boleści srodze zranił duszę  
I najświetniejszy blask nadziei zgasił;  
Kwiat, co mu życie swoim czarem krasił,  
Uwiadł i skonał w losów zawierusze.  
Umarła piękna i młoda królowa,  
A z nią — i szczęście i spokój Augusta.  
Już się do śmiechu nie złożą te usta,  
Co tak serdeczne szeptały jej słowa,  
Już ani w oku ten blask nie zaświeci,  
Co tak uroczro rozjaśniał dni błogie;  
Bo kiedy z serca raz wiara uleci,  
Wszystkie z nią czucia odlatują drogic.

### II.

Siedząc, zbolała na pierś zwiesił głowę,  
Oczy bolesne zamknęła zgryzota,  
A w duszy rosły ciągle burze nowe  
I rozpacz sercem na wsze strony miota.  
Biędny król August! Iście gorzkie losy  
Spadły na niego w pięknych dniach młodości;  
O własnej matce szyderstw słyszy głosy,  
A w zamku smutek i żaloba gości.  
Dawniej w posepnej żywota godzinie  
Miał jeszcze ulgę w przyjaźni Stańczyka;  
Bywało dowcip błazna zręcznie płynie  
I chmura smutku z czoła króla znika,  
I zapomina doli i niedoli,  
I śmiechem krasie posepne oblicze;  
Dzisiaj zanadto serce w piersi boli,  
Zawielkie w duszy wezbrały gorycze.  
Ani się Stańczyk na dowcip nie sili,  
Jeno omija królewskie komnaty,  
I sam jak nie swój w żartach swych się myli,  
I półżalobne wdzięwa na się szaty.  
Są święte bóle, których się nie godzi  
Dotykać śmiechem ni tchnieniem rozkoszy;  
Ich widok w sercu cześć i boleść rodzi,  
Tylko Opatrzność sama je rozproszy.

### III.

Lecz był na zamku człowiek z wielką cnotą  
I wielką łaską niebios się zaszczycił.  
Gwiazdą swych natchnień urocą i złotą  
Po wszystkiój ziemi wspaniale przyświecał.  
Miał dźwięczną lutnię z precudnymi tony,  
Któremi w serca ludziom wlewał życie,  
I łaską niebios najświętszą natchniony,  
Sztuką swą cuda sprawując obficie,  
Do Boga pierwsze wyśpiewywał dźwięki,  
Drugimi serca przebolełał goił,  
A nutą dzielną i żywą piosenki  
Ducha potęgą cnot i natchnień zbroił.  
I cudnych pieśni płynęły mu nuty  
Niewyczerpane i nieocenione,  
Bolesne wtedy tylko, gdy skrawione  
Żalem nad ludźmi i głosem pokuty.  
Bekwark był takim dzielnym lutni mistrzem;

Piosenki jego, nie składane w księgi,  
W sercach uczuciem żyły przenajczystsze  
I od ksiąg większej bywały potęgi.  
On ich nie pisał, żyły tylko chwile  
W których z pod palców z strun lutni spływały,  
A jednak w takiój utwarzał je sile,  
Że nigdy z serca ludzi nie ginęły.  
Kto je posłyszał, zapamiętał wiecznie,  
Bo co od serca płynie, w serce płynie;  
Więc i ukochał lud pieśni serdecznie,  
I żadna marnie pewno nie zaginie.

### IV.

Bekwark krakowskiej ziemi był dziecięciem,  
Sercem ukochał jej cudowne grody,  
Poznał ich wielkość małym pacholęciem  
I czarem cudów poił swój wiek młody.  
Z pobożnym ludem święte pieśni śpiewał,  
Dzwonów melodyą serce swe nastrojał,  
I do natchnionej duszy skarby wlewał,  
Któremi w domach Bożych się upajał.  
Więc gdy na lutni trącił stronę pierwszą,  
Ona mu grała tony z serca tchnięte,  
I pieśń ta była gorącą, najszczerzą,  
Bo ją modlitwy utworzyły święte.  
A kiedy w życiu poznał szczęście, troski,  
To je do drugiej zgromadzał piosenki,  
I gdy znów zagrał, to iście ton boski  
Na dźwięcznej lutni płynął mu z pod ręki.  
Gdy śpiewał szczęście, głos mu brzmiał weselój,  
Boleść się w smutne przystrajają tony,  
W niebie tam Bogu tak nuca anieli,  
Jak Bekwark śpiewał do pieśni natchnionij.  
I z swoją duszą marzącą i czystą  
Był w życiu skromny i w wielkości cichy,  
Lutni nie skalał nigdy grzechem pychy,  
A przecież w kraju był pierwszym lutnistą.  
Wszędy zasłynął śpiewem lutni boskiej,  
Czci i uwielbieni doznawał obficie,  
Czczył go największy wieszcz, Jan Kochanowski,  
I August wielbił jego piękne życie.  
Bo gdy nim smutek wdowieństwa zawiadał,  
Gdy słuchać nie mógł dowcipów Stańczyka,  
Ulubionego przyzywał muzyka  
I śród gry jego w słodki zachwyt wpadał.  
A boleść dumy, której nie rozbroi  
Żart ni uciecha, choćby i serdeczna,  
Taki niebiański zachwyt tylko goi,  
Bo sercu — serca melodia skuteczna.

### V.

Dzisiaj, gdy króla ciężki ból przygniała,  
Kiedy nadziei promyk go porzucił,  
Gdy myśl rozpaczy w wspomnienia ulata,  
Jedenby tylko Bekwark go ocucił,  
Gdyby na lutni słodką pieśń zanucił.  
Więc gdy mu boleść dokuczwała srodziej,  
Sam go przyzywał, aby mu grał pieśni,  
I wtedy Bekwark takie cuda tworzy,  
Ze lżej i sercu, choć czuje boleśniej.  
I dziś go wezwał — bo w swój samotności  
Zbyt gorzko uczuł dolę rozpaczliwą;  
Wspomnienia rzewne najtkliwszej miłości  
Stanąły w duszy jaskrawo i żywo.  
Posłaniec wrócił — lecz odpowiedź zwleka;  
Zygmunt się spojrział w jego twarz zmienioną  
I milcząc, chwilę niespokojnie czeka,  
I jakaś trwoga przenika mu łono.  
„Smutną wieść niosę, najjaśniejszy panie!  
Bekwark w komnacie swojej z lutnią w ręku  
Siedzi bezwładnie — choć wszyscy dworzanie  
Słyszeli właśnie pieśń cudnego dźwięku.  
Grał ją na chwilę przed wezwaniem twojem,  
I uciął potem, i tak siedzi bładny.  
Wszyscy najwyższym tknięci niepokojem,  
Bo lekarz mówi że już niema rady.“  
„Uciął i skonał“ odrzekł król zbolały,  
I spiesznie dążył do swego lutnisty,  
I dziwne myśli w smutnej duszy grały,  
A w oczach jaśniał urok promienisty.  
Przybył i ujrzał:

W krześle swém zapadły  
Siedział lutnista, jako trup wybladły;  
Lutnię miał w ręku, a palce omdlałe  
Na strunach siadły ciche i bezsilne;  
Oczy zagasły i pod czoło białe  
Skryły się w głębi — oznaki niemyłne,

Że dusza wzbiła się dzisiaj najwyżej  
I już do swego ciała nie powróci,  
W natchnieniu Boga stanęła najbliżej  
I swych niebiańskich uciech nie porzuci.

„Uciął i skonał“ powtórzył król smutnie  
I ręce z żalu boleśnie załamał.  
„Któż po Bekwarku weźmie teraz lutnię,  
Aby natchnieniem i sercem nie kłamał?“

I bolejący ukląkł u nóg jego,  
I ciche modły za duszę odmówił,  
I słowa swemi laur lutniście uwił,  
I błogosławił gorzką łzą zmarłego.

### VI.

Tak skończył Bekwark. Lutnista konanie  
Było precudnej melodyi piosenką;  
Wszyscy ją w zamku słyszeli dworzanie  
I życiem drgała, nie przedśmiertną męką.  
Cudnymi tony rozmawiał on z Bogiem,  
Z żywota swego przed nim się spowiadał,  
I gdy rozgrzeszon stał przed niebios progiem,  
Samym aniołom nuty święte skradał.  
I brzmiał śpiew jego, dopóki lutnista  
W chóry aniołów duszą swą nie wpłynął,  
A wtedy — jego śpiew na ziemi zginał  
I wzrosła z niego Bogu pieśń wieczysta.

J. K. Turcki.

## Przegląd teatralny.

Teatr Rozmaitości: — Pieć piękna, komedycja ze śpiewkami w jednym akcie, z niemieckiego tłumaczona.

Znakomity krytyk francuzki Jouvin, zdając sprawę z komedii Aleksandra Dumasa „Panna de Belle Isle“, powiada że pomysł do téj komedii Dumas kupił od jakiegoś podrzędnego wodwiliisty za trzysta franków. Szło tu o przełamaną sztukę złotą, której dwie połowy zabierają dwaj kochankowie, z tém zastrzeżeniem, że obie połowki zostaną zwrócone bez wyrzutów i gniewu, skoro miłość się skończy. Z pomysłu tego wyrobiła się scena pomiędzy panią de Prie a księciem de Richelieu, scena zajmująca, dowcipna i żywo napisana, ale jedna tylko. Za sceną wszakże poszła i komedya, która należy do najlepszych Dumasa utworów. Wodwiliista byłby z tego zrobił jaką błażostkę, zapomnianą wkrótce po przedstawieniu i bez żadnej wartości wewnętrznej.

Pomysł więc nie jest wszystkiém, zwłaszcza że o pomysł nowy trudno. Znalezienie punktu zapatrywania się, wystudyowania wszystkich stron kwestyi, a głównie obrobienie, wszystko prawieznaczy. Tenże sam przedmiot może posłużyć do farsy, wodwili i komedii, a jedno, drugie i trzecie może być dobre w swoim rodzaju, jeżeli talent autora nadaje się ku temu.

Wstręt do kobiet naprzykład obrabiali już na scenie Anglicy, Francuzi, Niemcy, a pomimo tego, zapatrując się na przedmiot z odmiennój strony, zawsze coś nowego powiedzieć o nim można. Ale trzeba umieć powiedzieć.

Do farsy rzecz się nadaje jak żadna może. Jest to bajka o lisie i winogronach, wprowadzona w akcją. Są ludzie dla których kobiety wiecznie kwaśnymi winogronami będą się wydawać, bo im sięgnąć po nie zbyt wysoko. Nie dziwić się, że tacy po różnych rozczarowaniach mogą uleść dość śmiesznej manii. Czytaliśmy nawet o tém zręcznie obrobioną powiastkę w polskim języku, którą Wójcicki spisał z jakiegoś podania. Dwaj bracia, szlachta staréj daty, mieszkający w odosobnionym dworku, przysięgli nie żenić się, bo żona w dom, to kłopot w dom, u białogłowy długie włosy a rozum krótki, gdzie diabeł nie może, tam babę pośle i t. d. Naturalnie za pierwszym uśmiechem wdzięcznych ust kobiecych wszystkie przysięgi w kąć idą. Naiwne to, proste i łatwo się czyta.

A bracia ślubni Kaczkowskiego, czyliż na inném tle osnuci? Ale to powieść, i powieść nie żartem, obmyślana dobrze, napisana z talentem, stanowiąca dokładny obraz obyczajów i charakterów w danéj epoce i miejscowości. W téj powieści znalazłaby się i komedya i dramat, jak kto chce, bo talent Kaczkowskiego szeroki jest a giętki.



Tak to z tych samych cegieł i z tegoż samego wapna buduje się i kamienica, i karczma, i świątynia Pańska; wszystko tu głównie zależy od budowniczego.

I do farsy potrzeba talentu. Że kawę nazwiemy *kawem*, a łyżkę *łyżem*, bo kawa i łyżka są rodzaju żeńskiego, a wstręt do kobiet nie dozwala ścierpieć nawet żeńskiego zakończenia wyrazu, to nie jest ani dowcipnym, ani śmiesznym. Że jakiś stary Adonis, pomimo zaprzysięgniętego wstrętu do płci niewieściej, trzęsie się febrycznie na widok piérwszej lepszej zgrabnej kibici, to nawet więcej już jak niewłaściwe.

Trzeba lekkości do farsy, trzeba dowcipu do wodwili, trzeba głębokiej znajomości serca ludzkiego do komedyi, inaczej ani kroku naprzód.

— No, ale cóż nam powiesz o sztuce w teatrze Rozmaitości przedstawianej?

— A prawda, miałem wam mówić o sztuce; ale skwitujcie mnie, proszę z tego, ciężkiego obowiązku.

Wacław Szymanowski.

### Kwestya Banków zaliczkowych dla rzemieślników. (\*)

Wiadomo zapewne wszystkim z ogłoszeń w piśmie publicznym, o wyjściu w tych czasach broszurki, drukowanej poprzednio w Tygodniku Ilustrowanym, pod tytułem: „Banki zaliczkowe dla rzemieślników,” przez p. Aleksandra Makowieckiego, gorliwego pracownika nad podniesieniem oświaty i dobrobytu pomiędzy rzemieślnikami.

Dziś, jakkolwiek rady p. Makowieckiego nie wszystkim przypadają do smaku, (widzieliśmy to z niedawnej polemiki w kwestyi rzemieślniczej) są jednak zwolennicy jego zasad, są ludzie pomiędzy rzemieślnikami i fabrykantami, chociaż niestety w dość szczupłej mniejszości, którzy pragnęliby podnieść i uszlachetnić tę ogromną warstwę społeczeństwa; są, powtarzam, tacy, którzy zrozumieli całą ważność rad p. Makowieckiego, i każdy z nich przejęty jest dla niego serdeczną wdzięcznością za jego bezinteresowne prace, które, daj Boże, aby jaknajprędzej zbawienny owoc przyniosły.

Nie pierwszy to już raz ta kwestya jest podnoszona. Przejrzyjmy artykuły Zenona T. (rzemieślnika), drukowane w Tygodniku Ilustrowanym, mianowicie w Nrach 290 i 378, zwłaszcza w tym ostatnim, gdzie proponuje składki emerytalne i cyframi dowodzi, do jakichby funduszy stowarzyszenia przyjść mogły. Zajrzyjmy do Kalendarza Józefa Ungra na rok 1866; i tam w artykule: „Rady dla rzemieślników,” tenże Zenon T. zaleca przy stowarzyszeniach rzemieślniczych kasy pożyczkowe; lecz wszystko to jak groch o ścianę rzucony. Nie chcemy i nie chcemy poznać własnego dobra.

Wszystkie rady oparte na smutnych doświadczeniach, stwierdzone jawnymi faktami, żadnych nie przynoszą owoców. Coraz większy niedostatek, coraz większa nędza do nas się wciska, a my, jak niewidomi i głusi, niebaczni na jutro, które nas jeszcze w gorszym postawić może położeniu, uskarżamy się wprawdzie na biędę, ale stawić jej mężnie czoła i nie dać do siebie przystępu, czy nie umiemy, czy też nie chcemy. Lecz zdaje się że głównie to ostatnie, gdyż ludzie nauki nie przestają udzielać rad zdrowych, w których maluje się serdeczna życzliwość i które tak doskonale trafiają do przekonania, że prosty nawet chłopski rozum zdolny jest ocenić je i znać za zbawienne.

Panowie starsi zgromadzeń, nie namyślając się długo, winni corychlej przyjść w pomoc rzemieślnikom, aby ich uchronić od niechybnego upadku. Wszakże i dziś posiadają zgromadzenia jakie takie kapitały, ale te leżą albo zupełnie odłogiem, albo też bardzo mało korzyści przynoszą, i to tylko szkatule, bo członkowie, w razie potrzeby, muszą się uciekać do lichwiarzy i większą część swych zysków darmo im oddawać.

Oto fakt, który najlepiej o tém przekona, a zarazem dowiedzie, jak wielką przysługę przyniosłyby banki zaliczkowe.

(\*) Z prawdziwą przyjemnością zamieszczamy tę odezwę jednego ze świątliwych rzemieślników naszych, w nadziei że kwestya Banków zaliczkowych, kilkakrotnie już przez nas podnoszona, trafi nareszcie do przekonania ogółu i z pola teorii wejdzie w praktyczne wykonanie. (Przyp. redak.)

Jestem majstrem stolarskim, należącym do zgromadzenia cechowego. Otrzymałem w tych czasach pewną znaczniejszą robotę, do której potrzebowałem, oprócz innych nakładów, blisko za 1000 rs. samego drzewa. Tak wielkiego zapasu w materyale, ani też leżącej gotowizny w domu nie posiadałem, a zaliczenia żądać było niepodobna, gdyż jeszcze ja kaucyą złożyć byłem obowiązany. Udałem się więc do znajomego handlarza drzewem, aby mi potrzebnego materyału na kredyt dostarczył. Chętnie na to przystał, lecz za gotowiznę byłbym takowy przynajmniej o 10% taniej mógł nabyć, czyli że około 100 rs. stracić musiałem, wystawiając rewers na termin 4ro miesięczny. Nieprzewidziane okoliczności zrzuciły, że robota w połowie przerwaną, i na parę miesięcy odłożoną być musiała, a z odbioru połowy mej należności, niepodobna było całego rewersu zapłacić, gdyż należało jeszcze, oprócz materyału, zaspokoić czeladź, mających przy tej robocie udział innych rzemieślników i tym podobne wydatki. Zapłaciłem więc tylko blisko  $\frac{3}{4}$  należności za drzewo, a na resztę zmuszony byłem wystawić sola-weksel, z 3 miesięcznym terminem, doliczając jeszcze 2% na miesiąc, co wyniosło do 20 rs. Widziemy ztąd, że w skutek braku kapitału, w ciągu 7 miesięcy straciłem do 120 rs; gdyby zaś istniał bank zaliczkowy, biorąc z niego pożyczkę podług stopy przez p. Makowieckiego projektowanej po 8%, za 6 miesięcy od całkowitej summy zapłaciłbym tylko rs. 40, i to nie oddałbym takowych nikomu darmo, lecz podniósłbym tę kwotę fundusze Banku zaliczkowego, pozostałe zaś rs. 80 zwiększyłyby zysk z tej roboty osiągnięty. A ileż się to podobnych przykładów codziennie przytrafia.... a tém samem ileż to pieniędzy, krwawo zapracowanych, przechodzi w ręce lichwiarzy!

Stanisław Gaszczyński.

Stolarz.

### KORESPONDENCA TYGODNIKA ILLUSTRWANEGO.

Lwów, w maju.

Dnia pierwszego maja rozlegający się rankiem po wszystkich ulicach miasta odgłos muzyk wojskowych zapowiedział nam urzędownie wiosnę. Oddawna przyjętym zwyczajem odbywa się u nas w ten sposób powitanie wiosny i od tego dnia grywają już muzyki dla publiczności po kilka razy w tygodniu na placach publicznych. Tym razem uczyniono tę koncesyą dla śpichów lwowskich, że zamiast jak zwykle o godzinie piątej, zaczęto grać o godzinie siódmej, aby zbyt wcześnie nie przerwać snu wygodnisiom, którzy w najlepsze toną w puchach, gdy świat około nich krząta się już i do dzienniej zabiera pracy. Ponieważ mamy tutaj w tym roku aż pięć muzyk pułkowych, przeto częściej niż zwykle, bo pięć razy tygodniowo, będziemy mogli przysłuchiwać się im, gdyż każda ma dla siebie wyznaczony dzień w tygodniu i grywają naprzemian, to na wałach, to przed gmachem komendy głównej.

Ponieważ tym razem wiosna nie skłamała kalendarzowi i maj przyniósł pożądaną pogodę, przeto równocześnie zapełniły się publiczne ogrody i przechadzki.

Część ogrodu pojezuickiego, wynajęta przez Radę miejską nowemu restauratorowi, przekształciła się znacznie, albowiem nowy przedsiębiorca umyślił, na wzór zaprowadzonych już dawniej na Wysokim Zamku sztuczek i zabawek, wyzyskiwać gawieź publiczną. Otoczono więc znaczną przestrzeń w okół szwajcarskiego domku sztachetami i postawiono w obrębie tego oparkania karuzel, huśtawki i estradę dla muzyki, przez co zeszpecono najpiękniejszą część ogrodu, zepsuto najszlachetniejsze trawniki i zakryto widok domku szwajcarskiego, który się przesłania z tej właśnie strony przedstawiał w perspektywie. Wstęp do tego okolenia jest tylko za opłatą dozwolony. Woń wyrugowanych kwiatów zastąpił wyziew tabacznego, a część ta ogrodu, właśnie najpiękniejsza, straciła wszelki wdzięk, który tak ujął przejeżdżającego tędy Anglika, iż w wydanym niedawno opisie swjej podróży, ogród pojezuicki stawia na równi z najpiękniejszymi ogrodami stolic europejskich. Nie wiem czy to przeistoczenie równieby mu się podobało.

Gdy mówimy o wiosnie i ogrodach, sama z siebie myśl się nasuwa o Towarzystwie ogrodniczo-sadowniczym. Zamianowanie dyrektorem Towarzystwa p. Konstantego Pietruskiego, znakomitego i zamiłowanego naturalisty, wróży jaknajpomyślniej o przyszłym jego rozwoju. Ale cóż kiedy dyrektor nie przyjeżdża, a Towarzystwo nie rozpoczyna czynności z tej przyczyny, iż dotąd nie ma miejsca na założenie ogrodu. Oddawna już podano do Rady miejskiej o wydzierżawienie ogrodu na Piekarskiem, gdzie kosztem miasta założona, istnieje szkółka drzew owocowych, na którym to ogrodzie, nawiasem mówiąc, miasto ponosiło dotąd rokrocznie stratę, a podanie to zalega dotąd bez żadnej odpowiedzi w Radzie, pomimo że wiosna, nie trzymająca się form biurokratycznych, nie czeka i wkrótce już minie pora wiosennych robót ogrodowych. Dziwna to ze strony Rady miejskiej obojętność w podaniu pomocnej ręki Towarzystwu, tyle korzyści dla kraju rokującemu, tém bardziej, że w ostatnim razie nie ma ono nic przeciw temu, aby za wydzierżawienie ogrodu dobrze zapłacić. Skoro tylko uchwała Rady miejskiej odda na użytek Towarzystwu pomieniony ogród, o czém przecież w końcu wątpić nie można, zostanie tam założona, pod kierunkiem p. Pietruskiego, szkółka drzew owocowych, z której będą mogli korzystać wszyscy członkowie Towarzystwa, zapisując sobie z niej szczepy uszlachetnione; obok tego ogród warzywny dla nauki uczniów szkoły ogrodniczej Towarzystwa, ogródek botaniczny, ze szczególnem uwzględnieniem tyle w gospodarstwie rolnem potrzebnych roślin pastewnych, tudzież ziół lekarskich i aptecznych, a dalej chmielarnia i pasieka wzorowa, z ulami Dzierżonowskimi. Tak tedy zamierza Towarzystwo połączyć w szkole swjej, obok teorii, praktyczną także naukę wszystkich gałęzi gospodarstwa, łączących się ubocznie z właściwem sadownictwem. Ale nie na tém koniec czynności jego, na szeroki rozmiar zakreślonych. Z uprawą ogrodu łączy Towarzystwo także bazar w mieście, w którym przedawać się będą warzywa i owoce z jego ogrodu, a tak obok otrzymanego ztąd zysku i wygody publiczności, która tu zaopatrywać się będzie mogła po umiarkowanej cenie w najwyborniejsze gatunki ogrodowizn, pobudzi jeszcze do spórzawodnictwa innych ogrodników miejskich, zmuszonych tym sposobem do więcej umiejętnego pielęgnowania swych ogrodów i zniżenia cen wygórowanych. Obok tego otwiera Towarzystwo dom komisowy, zajmować się mający dostarczaniem na prowincyą wszelkich przedmiotów do ogrodnictwa należących, lub też pośrednictwem w ich sprzedaży, sprowadzaniem nasion, stręceniem ogrodników, udzielaniem informacji, i t. d.

Z początkiem lipca zaczyna tutaj wychodzić nowe pismo gospodarskie pod tytułem *Rolnik*, które ma zastąpić wychodzące obecnie *Rozprawy* Towarzystwa gospodarskiego. *Rozprawy* wychodziły tomi, po dwa tomy do roku, i zawierały głównie protokoły z czynności Towarzystwa. Zbiór ich, począwszy od zawiązania się tutejszego Towarzystwa gospodarskiego, stanowi archiwum, będące cennym materyałem dla każdego chcącego się obeznać dokładnie z jego czynnościami. Wszelako *Rozprawy* mało się rozchodziły i nie obudzały zajęcia dlatego właśnie, iż nie wychodziły po za zakres czynności Towarzystwa. Nakład ich wiele też kosztował. Na tegorocznem walnem zgromadzeniu postanowiono zatem zwinąć *Rozprawy*, a natomiast dać subwencyą temu, ktoby się podjął wydawać pismo peryodyczne poświęcone rolnictwu i przemysłowi.

Wydawnictwa tego podjął się baron Gostkowski, członek Towarzystwa gospodarskiego, który przesiadła się do Lwowa i prowadzić będzie redakcyą pisma, wspólnie z profesorem szkoły dublańskiej. Z takim współpracownictwem nowe pismo ma wszelkie rękojmie, że będzie prowadzone umiejętnie, z należytem uwzględnieniem potrzeb rolnictwa i przemysłu krajowego, że obudzi zajęcia, jakiego nie umiały i nie mogły już samym składem i treścią swoją pozyskać wydawane dotąd *Rozprawy* Towarzystwa. *Rolnik* będzie wychodził zeszytami, dwa razy na miesiąc. W ogłoszonym programie przyrzeka on dawać dokładne obrazy rozwoju rolnictwa, tudzież wszystkich gałęzi przemysłu rolniczego, podawać w korespondencyach systematyczne opisy gospodarstw wzorowych, rozbiierać pytania gospodarskie w gruntownie opracowanych rozprawach i



obznajmiać zarazem publiczność z zagranicznym ruchem handlowym.

W teatrze polskim mieliśmy w kursie bieżącym przedstawiony szereg sztuk nowych, pomiędzy którymi kilka oryginalnych, jak: *Po ślizkiej drodze* Koziebrodzkiego, *Twardowski* Szujskiego, *Panie kochanku* Kraszewskiego. Każdy z tych utworów w zupełnie odmiennym sposobie pisany, innemi odznacza się zaletami. Dramat Szujskiego, będący raczej alegorią poetyczną w kształty dramatu spowita, odznacza się przesłizcznym, podniosłym wierszem, głębokością pomysłu i pięknosciami obrazów, powiązanych, nie dosyć może wyraziście, nicią główną myśli poematu. Zupełnie inny jest obrazek Kraszewskiego. Tam niema już alegorii, lecz występuje głównie jedna postać, znana, sympatyczna i popularna, Radziwiła *Panie kochanku*, szkicowana z humorem, z dowcipem, na tle drobnego anegdotalnego zdarzenia w zamku nieświeżskim. Anegdota udratyzowana przez Kraszewskiego, ubawiła serdecznie widzów, tak iż za drugim jej powtórzeniem teatr był do nacisku przepełniony. Jest to najlepszy dowód powodzenia sztuki, jeżeli za każdym powtórzeniem jej nie ubywa, ale przybywa widzów. Mało którzy autorowie mogą się cieszyć taką oznaką powodzenia swych utworów, wymowniejszą nad wszelkie najchwalebniejsze krytyki. Tak było u nas ostatnimi czasy z *Halką* Moniuszki, tak z Kraszewskiego *Panie kochanku*. Krytyka zarzucała usterki przedstawieniu *Halki*, a publiczność coraz się liczniej na nią zgromadzała. I miała słusność, bo kto widział *Halkę* przedstawioną na tutejszej scenie, a nie patrzył przez okulary uprzedzenia lub zawistnej niechęci, ten przyznać musiał, że lubo przedstawienie jej u nas nie mogłoby się zapewne równać z przedstawieniem jej na scenie warszawskiej, to przecież nie ujęło w niczym piękności opery. Również i przedstawienie *Panie kochanku* wypadło bardzo dobrze. Karol Królikowski uwydatnił w roli tytułowej księcia *Panie kochanku* wszystkie wybitne cechy tej popularnej postaci, grał z życiem i prawdziwym humorem; inne podrzędniejsze role, jak *Wirszyły*, generałowej *Morawskiej*, przedstawione przez p. Linkowskiego i Hubertową, przyczyniły się do podniesienia całości, słowem przedstawienie wypadło wybornie. Dla uzupełnienia kroniki teatralnej dodam, że przyjechała tu na role gościnne p. Modrzejewska, artystka teatru krakowskiego, i wystąpiła poraz pierwszy w *Adryanie Lecouvreur*. W roli tej widziała publiczność lwowska niejednokrotnie *Aszpergerową* i *Rakiewiczową*; trudne więc miała zadanie p. Modrzejewska, walcząc z takimi reminiscencyami. Na ferye letnie zamierza teatr nasz wyjechać w tym roku do Lublina.

Mamy tu także od świąt wielkanocnych operę włoską, ale ta nie robi wielkiego wrażenia. Pomimo szumnych zapowiedzi afiszowych, przyjęto ją odrazu z niedowierzaniem. Publiczność jest sceptykiem, szczególnie tam gdzie trzeba płacić gotówką i to podwyższone ceny. Sceptycyzm publiczności tutejszej jest wielki, a w rzeczach muzyki większy jeszcze jak gdzieindziej. Opera włoska, pomimo kilku danych już przedstawień, nie zdołała przewyciężyć tego sceptycyzmu, i parę razy już się zdarzyło, że zapowiedzianą operę odwołano z nieprzewidzianych przyczyn.

Bawi tu obecnie Kraszewski i rozpoczął odczyty o Dancie i jego poemacie, na korzyść tutejszej czytelnicy akademickiej. Rozprawę swą podzielił na cztery odczyty. W pierwszym skrzył charakterystykę wieku Dantego, w drugim uwydatnił na tém tle dziejowem postać samego poety i podałszy w streszczeniu żywot jego, wskazał pod jakimi wpływami i z jakich zasobów potężny ten geniusz stworzył owo wielkie dzieło, w którym poruszone są pod postaciami symboliki poetycznej najważniejsze zadania filozoficzne, teologiczne i społeczne, będące przedmiotem dociekań mędrców wszystkich pokoleń i wieków, gdyż dotyczą najbliższej losów ludzkości. Rozprawa Kraszewskiego odznacza się przedewszystkiem dokładnym wystudowaniem przedmiotu i doskonałą znajomością całej literatury Dantęjskiej, której zbadaniu nasz autor widocznie dłuższy czas poświęcił. Ztąd owo bogactwo szczegółów, służące do uwydatnienia charakterystyki poety i jego czasu, skrzyśloną obrazowo i z wielkim życiem. Kraszewski przełożył cały poemat Dantego, a rozprawa obecnie czytana, jest owocem studyów przedsię-

wziętych gdy się do tego przekładu zabrał. Przekład jego dokonany jest wierszem nierymowym, bo tłumaczowi chodziło głównie o jaknajwierniejsze oddanie myśli poety w pierwotnej sile. Przekład rymowy byłby zapewne dla ogółu powabniejszy, ale aby zachował prostotę i siłę, obok dokładnego oddania myśli, na to potrzebny byłby Mickiewiczowski geniusz poetyczny. Nierymowy przekład Kraszewskiego, z którego wyjątki czytał w swój rozprawie, przewyższa wiernością i wyrazistością o wiele przekład Korsaka.

Wracając do odczytów, z ubolewaniem donieść muszę, że zbiera się na nie mniejsze grono słuchaczy niż się spodziewano. Przyczyną tego jest po części wysoka cena wstępu, gdyż krzesło kosztuje 10 złp., a wstęp po 4 złp. na każdy odczyt, co w naszych okolicznościach finansowych jest ceną dosyć wysoką; powtóre pora niebardzo korzystnie do odczytów wybrana; a w końcu i sam wybór przedmiotu, nie będący w styczności ze sprawami i zagadnieniami chwili bieżącej, najbardziej publiczności interesującymi. Na drugie dwa odczyty musiano nawet zniżyć cenę wstępu, ażeby go umożliwić większemu kołu publiczności. Kraszewski, zaraz po ukończeniu swych odczytów, wyjeżdża ztąd do Poznania.

## ŻYCIE ZA ŻYCIE.

Powieść

Waleryi Morzkowskiej.

(Dalszy ciąg.)

— Co panu jest? zapytała z niepokojem, nie zważając na hrabiego. Czemu tak pobladłeś?

W istocie bladym musiałem być bardzo; każde słowo tej rozmowy krwią zalewało mi serce, drażniło wszystkie szlachetne struny mego ducha, a nie pozwalałem im wybuchnąć.

Herakliusz lękał się odpowiedzi mojej, a ja nie wiedziałem sam co odpowiedzieć. Przy niej byłem bezsilny, bezbronny; czułem wprawdzie że w walce z Herakliuszem ona stanęłaby po mojej stronie, ale mógłbym ją na walkę narażać? Mógłbym macić jej czystego ducha dźwiękiem nawet podobnej rozmowy? pod przymusem nieledwie żądać pierwszego słowa miłości? Burze, cierpienia, potwarze, wszystko to mogło spadać na mnie, ale nie na nią, nigdy na nią.

Idalia jednak patrzyła w twarz moją z nieznaną mi dotąd słodyczą i wyczytała może miotające mną uczucia. Ostatnie słowa usłyszane wróciły jej na pamięć.

— Co mówiłeś, wyrzekła zwolna zwracając się do hrabiego, o wyjeździe z Maniowa?

— Mówiłem, odparł Herakliusz, siląc się na uśmiech spokojny, że zapewne niedługo opuścimy te strony. Wiész że siostra moja spodziewa się ciebie w tym miesiącu, wiész że macie razem zwiedzać Szwajcaryę i Włochy.

— Ja nie wyjadę wcale z Maniowa, odparła stanowczo Idalia, patrząc na mnie, jakby chciała temi słowami wrócić mi spokój i szczęście.

— Wierzę, pochwylił hrabia, nie mogąc pokryć ironii dźwięczącej w głosie, wierzę iż ci tutaj przyjemnie czas upływa. Mam jednak nadzieję że zrobisz tę ofiarę dla świata, który się o ciebie upomina, dla rodziny, dla mnie.

I tutaj głos jego przechodził w prośbę.

Idalia milczała chwilę, drżąca, rozburzona, jakby zbierając siły. Z twarzy jej różowo-bładęj schodziła barwa, skupiając się w dwóch rumieńcach płomiennych.

— Dlaczego mam ztąd wyjechać? wyrzekła w końcu zwolna, poważnie, zbliżając się do opiekuna i stając naprzeciw niego.

— Pomówimy o tém później, odparł Herakliusz, wskazując jej wzrokiem, że jestem niepotrzebnym świadkiem tej rozmowy.

Zbliżyłem się do drzwi balkonu, ale zatrzymał mnie głos Idalii.

— Panie Edwardzie, zostań, wymówiła stanowczo. Ja nie mam nic do powiedzenia, czegobys usłyszeć nie mógł, czegobym nie wyrzekła w obec świata całego.

— Idalio! zawołał Herakliusz.

— Dlaczegoż mam milczeć, mówiła dalej, nie zważając na ten wykrzyknik, dlaczegoż nie mam odpowiadać, kiedy tu chodzi o mnie? Mam prawo rozrządzać sobą, wszak wiész o tém dobrze. Matka moja, umierając, przewidziała tę chwilę, w której przyjdzie stanąć mnie jednej, przeciwko wszystkim, i dała mi naprzód błogosławieństwo swoje.

Mówiła to zwolna, stanowczo, stłumionym od wzruszenia głosem, a wzrok jej błękitny zdawał się szukać w przestrzeni niewidzialnego opiekuńczego ducha, którego wzywała.

Herakliusz nie spodziewał się pewno tak stanowczego oporu w tej wstępie, idealnej istocie; nie wiedział że charaktery czyste, jednostronne, bywają nieprzeparowane, bo żaden wzgląd poboczny na nie wpływu nie ma. Idalia szła prosto do głębi myśli swojej i nie widziała potrzeby okrywać ją lub nagiąć, dla jakichbądź względów.

Herakliusz mięknął przed nią i ustępował zwolna; nie miał prawa rozkazywać, lub też nie chciał tego prawa używać.

— Idalio, szepnęła zbliżając się do niej i biorąc za rękę, jakby ją budził z marzenia. Czyż ty i ja możemy kiedy stanąć przeciwko sobie? Czyż mogłabyś zwrócić do mnie słowa testamentu matki? Ja niemniej od niej pragnę szczęścia tego.

A gdy to mówił, w głosie jego było drzenie dziwne. Sądzę że w tej chwili mówił prawdę; on po swojemu pragnął jej szczęścia.

— Więc zostaw mnie tutaj, zawołała księżniczka, zostaw mnie tutaj, gdzie jestem szczęśliwą, gdzie pierwszy raz po jej śmierci zrozumiałam, że jeszcze przyszłość i nadzieja dla mnie istnieć może. Ja nie chcę ludzi ni świata, jam nie stworzona do błyskotliwych zabaw, do dowcipnej gry słów. Mnie pusto wśród tłumy i gwaru. Ja tutaj tylko szczęśliwą być mogę.

Herakliusz milczał chwilę, spoglądając na nią; wzruszenie jego ustępowało zwolna goryczy ironii.

— Idalio, wyrzekł w końcu, na co te próżne słowa? Czemu nie powiesz mi wyraźnie, co ciebie tutaj wiąże i zatrzymuje?

Szkarłatny rumieniec wybiegł na twarz Idalii i zwolna zeszedł z jej lica, zostawiając je bielsze niż marmur. Słowa te drasnęły najtajniejsze, najczystsze uczucia jej serca i wyrwały na jaw z niemilościerną szorstkością to, co ona zaledwie samej sobie przyznać śmiała.

Widziałem że hrabia mścił się za bezsilność własną, zadaniem tej moralnej tortury jej i mnie, co na nią patrzeć musiałem.

— Milczenie i rumieniec ten jest mi dostateczną odpowiedzią, mówił dalej hrabia, bez litości przedłużając mękę tej chwili i spoglądając na nią swym zimnym, szyderczym wzrokiem. Już wiem teraz dlaczego księżniczka Idalia pogardza światem, zrywa z rodziną i tutaj tylko szczęśliwą być może.

Tego było zanadto. Herakliusz, zaślepiony bezskutecznym gniewem, nie obrachował iż zaszedł zbyt daleko.

Idalia dumnie podniosła głowę, a słowa jego sprawiły, że wypowiedziała to, czegobym może nigdy nie usłyszał inaczej.

— Tak jest, wyrzekła topiąc w nim wzrok promienny nie błyskawicą gniewu, ale przeświadczeniem wyższości swojej, miłością zmuszoną objawić się w końcu. Tak jest, kocham, i żadna siła ludzka nie wyrwie mnie ztąd, nie rozdzieli.

Głos jej zamarł na ustach, gdy wyrzekła te słowa. Zanim je dokończyła, klęczałem u jej kolan i przyciskałem jej drżące dłonie do ust płomiennych, tak dumny, tak pełen wiary, nadziei, miłości, tak upojony, że świat i przestrzeń znikaly mi z oczów.

W tej chwili sądziłem się już panem świata; nie pojmowałem nieszczęścia, urągałem zwatpieniu. Czyż przyszłość mogła mi się przedstawić niepewną, gdy Idalia drżąca, biała, bezsilna, wątłą kibicią wspięła się na mnie, wyznając całą miłość swoją?

Herakliusz nie mógł znieść tego widoku; wysunął się z pokoju, cedząc jakieś wyrazy, których nie mogliśmy dosłyszeć, zapatrzeni, zatopieni w sobie.

Serce moje, wezbrane wdzięcznością, szczęściem, rozsadzało mi piersi, kipiało namiętnością, a jednak nie śmiałem ustami dotknąć jej czoła, jej włosów, tylko do pałającej twarzy cisnąłem jej ręce, nie mogąc oderwać się od niej.

Ale Idalia nie podzielała szczęścia mego. Podnosząc wzrok, spostrzegłem jej oczy zalane łzami, jej



twarz bledszą od lilij polnych które trzymała w ręku. Powstałem i chwiejąc się, jak dziecię posadziłem w fotelu. Głowa jej zwiesiła się na poręczy i pozostała chwilę tak bez głosu, bez skargi, w pół martwa, jakby z ostatnimi słowy i tchnienie jej uleciało.

— Idalio! szepnąłem przerażony, co tobie? Czy żalujesz żeś mnie uczyniła nadto szczęśliwym? Powiedz mi, dodałem drżący, czy chcesz bym zapomniał słów twoich? powiedz! Ja kocham tak, że nie chcę kosztować cię lzy jednej, jednej chwili smutku!

Nie mówiła nic, tylko na znak przeczenia wstrząsnęła głową.

— Idalio, czemu te lzy? pytałem, ciągle klęcząc przy niej.

— Alboż ja płaczę? wyrzekła, podnosząc rękę do oczów.

I nie mogąc przeczyć oczywistości, uśmiechnęła się blade z po za łez.

— Przebac mi, mówiła cicho, przymykając oczy, jakby lękała się zachodzących słońca promieni, które rumieniły jej twarz, lub mojego wzroku.

— Co tobie? pytałem trwożny.

— Ja nie wiem sama, odparła; ale czuję że jakaś struna w moim duchu zajęczała i zamarła na zawsze.

I zimną dłonią pocierała czoło, jakby zbierając myśli rozpierzchnęła.

Dziwną intuicyjną serca, zrozumiałem co powiedzielić chciała, zrozumiałem to nieujęte cierpienie czystego dziewiczego ducha, które tym jednym słowem „kocham“ oddawało się w poddaństwo na wieczność całą niepowrotnie. Czysty anioł przemieniał się w kobietę i bolał jakby nad upadkiem.

Zrozumiałem to, i szczęście moje i duma zwycięstwa, w obec jej żalu odbiegła mnie w jednej chwili. Słowa zamięrały mi na ustach, myśli wirowały w mózgu, a serce moje biło tak gwałtownie, że Idalia widzieć mogła piersi moje wznoszącą się i spadającą jak fala.

— Więc cóż mam czynić? wyrzekłem w końcu. Mów, rozkaż!

A smutek bez nazwy ogarniał mnie przy niej nawet.

Podawała mi rękę z anielskim uśmiechem, ale twarz jej pozostała blada, wzrok zmacony.

— Byłam nadto szczęśliwą, wyrzekła zwolna, wczoraj jeszcze byłam tak szczęśliwą! Czemuż nie można cofnąć się do wczoraj i dzień jeden wymazać z życia?

— I będziesz nią jutro, będziesz nią zawsze, najdroższa, mówiłem. Daj mi prawo walczyć za ciebie i cierpieć za ciebie. Wszak śmiało w ręce moje złożysz przyszłość swoją.

Ale na te słowa wzrok jej, zamiast rozjaśnić się nadzieją, spoczął na mnie z trwogą, nieledwie z wyrzutem. Umilkłem zdumiony. Tym razem nie wiedziałem co obrazić ją mogło.

Dusze nasze się rozbiegły, przestałem ją pojmować.

— Nie mów tak, wyrzekła, nie trwóż mnie przyszłością; ja byłam tak szczęśliwą, tak ufna! Czyż ty wątpisz o sercu moim, czy chcesz nadużyć tej chwili i mego wyznania?

Te słowa dotknęły mnie do głębi serca; przygotowałem się na walki, ofiary, ale nie na taki wyrzut, nie zasługiwałem na niego. Świat, przed chwilą rozbrzmiewający hymnem szczęścia, teraz zczerniał mi w oczach; zdawało mi się że ziemia usuwała mi się z pod stóp.

— Więc mnie nie kochasz? szepnąłem tylko. Nie płacz, Idalio, bądź spokojna; nie nadużyj chwili w której omyliłaś się sama na sobie.

— Czyż mnie nie rozumiesz, Edwardzie, wybuchnęła nagle, ty, coś mnie zawsze odgadywał?

— Nie, odrzekłem posępnie, dziś pojąć cię nie mogę, bo widzę że cierpisz, że mnie oskarżasz.

— Nie oskarżam ciebie, przerwała, ale samę siebie. Bądź dobrym dla mnie, nie opuszczaj mnie, zrozumieć!

— Opuścić ciebie? zawołałem. Czyż nie wiesz że możesz rozrządzać mną jak niewolnikiem, że możesz bezkarnie deptać po sercu moim? Powiedz mi czego pragniesz, czego się lękasz, co ci może wrócić szczęście? Bo ja zniosę wszystko, prócz łez twoich.

Uśmiechnęła się ławo, wyciągając do mnie ręce z jakąś zupełną, dziecięcą ufnością. Blada barwa powracała na jej twarz, tylko lzy jeszcze przeświecały w błękitach oczów jak brylanty, migotały na rzęsach i toczyły się zwolna po twarzy.

— Powiedz mi wołę swoją, mówiłem mimowolnie uśmiechniony jej uśmiechem, a wszystko, wszystko spełnię bez wahania.

Ale trudno jej było wypowiedzieć myśl własną; słowa drgały na ustach, a nie mogły sformułować się dźwiękiem.

— Edwardzie, szepnęła wreszcie, wszak ty byłeś szczęśliwy dotąd, zupełnie szczęśliwy?

— Ty wiesz o tym najlepiej, odparłem; byłem przy tobie, z tobą, serce moje odczuwało twoją miłość. Tak jest, byłem szczęśliwy.

— Byliśmy szczęśliwi oboje, wczoraj jeszcze, Edwardzie, podchwyciła. Powróćmy do wczoraj, bądźmy znowu czem byliśmy dawniej.

W dziwnej niewiadomości swojej, ona nie znała logiki namiętności; rozumiała zaledwie, że pomiędzy przeszłością a obecną chwilą jej własne słowa przepaść wykopały, i sądziła że inne słowa równie łatwo zapełnić ją potrafią. Nie pojmowała nieconfionych praw życia, ni palących burz serca. Ja wczoraj byłem zupełnie szczęśliwy, ale do tego wczoraj wrócić mi było niepodobna. Wczorajsze szczęście już dzisiaj zwało się cierpieniem.

Położenie moje było trudne: ona zrozumieć nie mogła tego, co wrzało w piersi mojej. Jakiemże słowem miałem przemówić do niej? Z niepokojem spojrzałem w niebo: przed nami na purpurowej łunie zachodu pływały złote obłoki, pędzone południowym wiatrem.

— Idalio, wyrzekłem, wskazując jej ten widok, prąd życia unosi nas, jak prąd powietrza unosi te lekkie chmury. Im i nam zatrzymać się niepodobna, ni wracać nazad. Idalio, nie lękaj się przyszłości.

Ale ona tego pojąć nie mogła i smutnie wstrząsnęła głową.

— Czemu, zapytała po chwili, myśl moja wiecznie ucieka do dni minionych? Żaloba zdaje się ciężać na jutrze. Nie zmuszaj mnie spoglądać w przyszłość, Edwardzie, jeżeli pragniesz szczęścia mego.

I drobne ręce złożone podnosiła z prośbą. Próżno broniła się myślą i słowem; ona czuła że już od tej chwili należała do mnie.

I cóż miałem uczynić? Z piersią pełną żądy, z szaleństwem w mózgu, musiałem ślubować posłuszeństwo jej woli.

Smutny, blady, pokononany, stałem przy niej, pozerając nieledwie wzrokiem te usta, które tak słodkie wymawiały słowa, a tak daleko były od ust moich.

Przeszkody, trudności, zwłoki pochodzące z obecnej ręki, byłbym umiał zwalczyć lub przenieść z pogodą; ale dziś cierpiałem, gdy ona sama cofała się przed przyszłością, gdy z drżeniem odsuwała myśl oddania mi się zupełnie. Cierpiałem, bom dostrzegł że serca nasze nierównym uderzają tętnem, że poraz pierwszy ja i ona zrozumieć się nie możemy.

Herakliusz zwyciężony, zwyciężał. Choć kochany, byłem nieszczęśliwy; nie widziałem jasnego wyjścia z tego położenia, a słowo *czekać*, które przed chwilą wymawiałem tak dumnie i ufnie, teraz zmieniło dla mnie znaczenie, wydawało mi się męczarnią.

Byłem zanadto szczerym i namiętnym, by kwestyją tę zostawić czasowi, by dać Idalii wolność oswój stanowczo, i wszystko zdawało mi się znośniejszym niż niepewność.

A jednak pozostałem w niepewności, nie miałem serca rozdrażniać jej jakimkolwiek słowem. Złamana jak kwiat wiosenną burzą, odpowiadała mi lżą i westchnieniem, odwracając oczy od rzeczywistego świata, nie chcąc, czy nie mogąc znieść jego ciężaru. Ona tak przywykła do idealnych sfer marzenia, tak oderwała się od ziemi, iż przestała pojmować potrzeby i prawa ludzkie. Czogoż zresztą mogłem żądać więcej, gdy tak szlachetnie, tak śmiało stanęła w obronie mojej i z dumą prawie wyznała miłość swoją?

To ja jestem niesprawiedliwy, niewdzięczny i niecierpliwy, a jednak smutno mi, jak gdyby pierwszy

podmuchał wiatru zamącił nieskalaną powierzchnię mego szczęścia; przeczuwam że to jest przepowiednia burz przyszłych.

Z wyzywającym uśmiechem, hardy, niezachwiany, szedłbym na walkę z losem i ludźmi, ale z nią walki nie pojmuję nawet; mogę tylko cierpieć i konać. Bo miłość moja wzrosła do szaleństwa. Ta kobieta nie może wzbudzać powszednich uczuć, ni drobnych namiętnostek.

Wszystko czego dotknie, podnosi do miary swojej. Kto ją pokocha, pokocha na wieczność. Nie mogę oderwać się od okna, przez które przynajmniej widzę jej mieszkanie, i piszę ci dzieje mego serca, które rozmarzone, niewyczerpane, rwie się ku niej całą siłą. Widać już przeznaczeniem jest moim żyć w ciągłej burzy, podrzucany falą życia od obłoków aż do otchłani.

Albino! ty, co tak jasno umiesz patrzeć w przyszłość, ty dla której otworem stoją serca ludzkie, prześlij mi słowo współczucia, wytrwania. Wytlumacz mi ją, Albino, bo ogarnia mnie wątpienie i smutek, a przyszłość niedawno jeszcze tak promienna, teraz mgli mi się i ucieka z przed oczów. Miłość uczyniła mnie trwożnym i nieśmiałym jak dziecię.

## LIST IX.

Edward do Albiny.

Wczoraj wysłałem ogromny list do ciebie, a dziś znowu pisać zaczynam, bo chwila każda nabiera dla mnie znaczenia, jakiego nie miała nigdy, i pada mi ołowiem na serce. Piszę do ciebie, Albino, bo cierpię, a zarówno szczęściem i bólem dzielić się z tobą muszę. Czas wlece się dla mnie nieskończony, lub miga jak błyskawica, a są godziny których zapełnić nie mogę niczem, w których piekło niepokoju wre we mnie, i jedyną rzeczą do której zdolny jestem, to opisywać te męczarnie ducha, te subtelne odcienia uczuć tobie, która jedna może zrozumieć mnie potrafisz.

Noc całą spędziłem bezsennie, nie mogąc oderwać oczów od jej domu, który w białym świetle księżyca jaśniał mi w oczach naprzeciw okien moich. Nad ranem zaledwie zdołałem znaleźć parę godzin rączkowego snu. Pierwsze promienie słońca zbudziły mnie, zerwałem się z pościeli, zbierając myśli, przypominając sobie dzień wczorajszy jak marzenie. Próżno rozum nakazywał mi spokojność, próżno rozbięrając fakta, nie znajdowałem nic coby mnie trwożyć mogło: serce moje ścisnęło się w piersi mroźnym przecuciem. Porywała mnie jakaś straszna, nieukojona żądza ujrzenia jej, przyciśnięcia do piersi, jakbym czuł że nieznaną potęgą staje pomiędzy nami i porywa ją z oczów i ramion moich.

Ja nie wiem, czy ty mnie zrozumiesz, Albino, ale pojdziesz przynajmniej że cierpię, że cierpię tym srożej, bo cierpień moich ująć nie mogę w karby wydarzeń żadnych, bo nie mogę dokładnie oznaczyć ich przyczyny.

Blady, zgorączkowany, drżący, siedziałem w południe przed gankiem mego domu, patrząc martwym wzrokiem na piękny widok roztaczający się wokoło, nie wiedząc sam jak zabić czas który mi ciężył. Ona tak opanowała istotność moją całą, że bez niej błąkam się jak cień bez ciała. Pragnąłem jej przy sobie każdym tętnem krwi, każdym spojrzeniem pragnąłem jej widoku. Czyż w stanie podobnym długo żyć można?

(Dalszy ciąg nastąpi).

HISTORIA RZYMSKA  
MOMMSENA.

Zeszyt 8my wyszedł dziś, zeszyt 9ty wyjdzie 10 czerwca r. b.

Całe dzieło składać się będzie z 4 tomów, czyli zeszytów 36.—Cena rsr. 8.—Prenumerata przyjmuje się po rsr. 1.

Pragnący na prowincyi mieć to dzieło, przysłać raczą pod adresem wydawcy rsr. 4, oraz przy odbiorze zeszytu 12go drugie rsr. 4, a egzemplarze będą sobie mieli przesłane franco.

Józef Unger.